

HENNING

MANSELL

mężczyzna,
który się
uśmiechał



Henning Mankell (ur. 1948), jeden z najpopularniejszych pisarzy szwedzkich, a zarazem wybitny dziennikarz i człowiek teatru, zasłynął serią publikowanych od 1991 roku powieści kryminalnych, których bohaterem jest komisarz Wallander. Stały się one bestsellerami nie tylko w Szwecji, na całym świecie osiągnęły łączny nakład ponad szesnastu milionów egzemplarzy; doczekały się przekładów na dwadzieścia pięć języków i wielu ekranizacji, w tym trzynastoodcinkowego serialu telewizyjnego (2004). Mankell to także autor powieści o tematyce społecznej, m.in. *Comédia infantil* (wyd. pol. w przygotowaniu), książek dla dzieci i młodzieży, dramaturg i reżyser teatralny. Jego twórczość przyniosła mu wiele nagród, m.in. Nagrodę Astrid Lindgren (1996) i prestiżową niemiecką Nagrodę Tolerancji (2004). Mieszka na przemian w Szwecji i w Mozambiku. Nakładem W.A.B. ukazało się dotychczas sześć jego powieści kryminalnych: *Fałszywy trop* (2002), *Piąta kobieta* (2004), *Morderca bez twarzy* (2004), *Biała lwica* (2005), *O krok* (2006), *Psy z Rygi* (2006). Wkrótce – *Ściana ognia*.



HENNING

MANSELL

mężczyzna,
który się
uśmiechał



w serii ukazały się:

Martha Grimes *Hotel Paradise*

Jean-Claude Izzo *Total Cheops*

Jean-Claude Izzo *Szurmo*

Jean-Claude Izzo *Solea*

Tomasz Konatkowski *Przystanek Śmierć*

Marek Krajewski *Koniec świata w Breslau*

Marek Krajewski *Widma w mieście Breslau*

Marek Krajewski *Festung Breslau*

Henning Mankell *Fałszywy trop*

Henning Mankell *Morderca bez twarzy*

Henning Mankell *Piąta kobieta*

Henning Mankell *Biała lwica*

Henning Mankell *O krok*

Henning Mankell *Psy z Rygi*

Aleksandra Marinina *Ukradziony sen*

Aleksandra Marinina *Męskie gry*

Aleksandra Marinina *Śmierć i trochę miłości*

Aleksandra Marinina *Gra na cudzym boisku*

Aleksandra Marinina *Złowroga pętla*

Aleksandra Marinina *Kolacja z zabójcą*

Zygmunt Miłoszewski *Uwikłanie*

Joanna Szymczyk *Ewa i złoty kot*

HENNING

MANSELL

mężczyzna,
który się
uśmiechał

przełożyła IRENA KOWADŁO-PRZEDMOJSKA

Patronat medialny:



Tytuł oryginału: *Mannen som log*

Copyright © 1993 by Henning Mankell

Published by agreement with Leopard Förlag AB, Stockholm and
Leonhardt & Højer Literary Agency aps, København

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo W.A.B., 2007

Copyright © for the Polish translation by Wydawnictwo W.A.B., 2007

Wydanie I

Warszawa 2007

*Powinniśmy się lękać nie amoralności wielkich ludzi,
ale tego, że to właśnie ona często prowadzi do wielkości.*

Alexis de Tocqueville

1

Mgła.

Jest jak skradający się bezszelestnie drapieźnik, pomyślał.

Nigdy się nie przyzwyczaję. Choć całe życie mieszkam w Skanii, gdzie mgła obleka ludzi płaszczem niewidzialności.

Była dziewiąta wieczorem jedenastego października 1993 roku.

Mgła nadciągnęła pośpiesznie od strony morza. Wrócił do domu w kierunku Ystad. Ledwie minął Wzgórza Brösarskie, wjechał prosto w biel.

Natychmiast poczuł silny lęk.

Boję się mgły, pomyślał. Powinienem raczej bać się człowieka, którego właśnie spotkałem na zamku w Farnholmie. Sympatycznego mężczyzny i jego wzbudzających postrach współpracowników, zawsze dyskretnie trzymających się na uboczu, gdzie cień skrywa ich twarze. Powinienem myśleć o nim i o tym, co, jak zrozumiałem, kryje się za jego przyjaznym uśmiechem i nieposzlakowaną opinią obywatela poza

wszelkimi podejrzeniami. Jego powinienem się obawiać, a nie mgły nadciągającej znad zatoki Hanö. Teraz, gdy już wiem, że bez wahania uśmierci każdego, kto stanie na jego drodze.

Włączył wycieraczki, żeby oczyścić przednią szybę z wilgotnej pary. Nie lubił prowadzić po ciemku. W światłach samochodu z trudem rozróżniał przemykające przez szosę zające.

Jeden jedyny raz, ponad trzydzieści lat temu, przejechał zającą. Zdarzyło się to w drodze do Tomelilli. Był wczesny wiosenny wieczór. Do dziś pamiętał, jak nadaremnie dociskał pedał hamulca, i tuż potem miękki odgłos uderzenia o karoserię. Zatrzymał się i wysiadł z samochodu. Zając leżał na szosie i przebierał tylnymi łapkami. Górną część ciała miał bezwładną, ani na chwilę nie spuszczał z niego wzroku. On zmusił się wtedy do poszukania kamienia na poboczu i z zamkniętymi oczami uderzył zającą w głowę. Potem szybko wrócił do samochodu, nie oglądając się za siebie.

Nigdy nie zapomniał oczu zwierzęcia i gwałtownie przebierających tylnych łapek. Nie udało mu się uwolnić od tamtego wspomnienia. Stale do niego powracało – zazwyczaj gdy najmniej się tego spodziewał.

Usiłował otrząsnąć się z nieprzyjemnego uczucia.

Zając, który nie żyje od trzydziestu lat, może kogoś przesładować, ale mu nie zagraża, pomyślał. Lepiej uważać na żywe.

Zdał sobie sprawę, że częściej niż zwykle spogląda we wsteczne lusterko.

Boję się, myślał dalej. Dopiero w tej chwili zdałem sobie sprawę, że uciekam. Zrozumiałem, co kryje się za murami zamku w Farnholmie, i od tego uciekam. I wiem, że oni wiedzą, że ja wiem. Ale jak dużo? Wystarczająco dużo, żeby mogli się obawiać, że nie dochowam tajemnicy zawodowej, której zobowiązałem się przestrzegać jako świeżo upieczony

adwokat? W zamierzonych czasach, kiedy takie zobowiązanie miało jeszcze jakąś wagę. Czyżby się bali sumienia starego adwokata?

W tylnym lusterku widział ciemność. Był sam we mgle. Za niespełna godzinę będzie w Ystad.

Na chwilę poczuł się lepiej. Więc jednak go nie śledzili. Jutro podejmie decyzję, co dalej robić. Porozmawia z synem – współpracownikiem i współwłaścicielem kancelarii adwokackiej. Zawsze jest jakieś rozwiązanie – tego nauczyło go życie. Teraz też musi się znaleźć.

Wyciągnął dłoń i w ciemności wymacał radio. Samochód wypełnił głos, który opowiadał o nowych odkryciach w dziedzinie genetyki. Słowa przepływały, nie docierając do jego świadomości. Spojrzał na zegarek, dochodziło wpół do dziesiątej. W tylnym lusterku wciąż było ciemno. Mgła stopniowo gęstniała. Mimo to ostrożnie docisnął pedał gazu. Z każdym kilometrem, który oddalał go od zamku w Farnholmie, czuł się bezpieczniej. Być może lękał się bez powodu?

Starał się uporządkować myśli.

Jak to się zaczęło? Zwyczajna rozmowa telefoniczna, kartka na biurku z prośbą o pilny telefon do klienta w sprawie weryfikacji umowy handlowej. Nazwisko nic mu nie mówiło. Mimo to zadzwonił; niewielkiej kancelarii w prowincjonalnym mieście nie stać było na odmawianie nowym klientom. Nadal pamiętał głos w słuchawce, uprzejmy, z północnym akcentem – stanowczo brzmiący głos człowieka, którego czas jest na wagę złota. Sprawa dotyczyła skomplikowanej transakcji na dostawy cementu przez armatora zarejestrowanego na Korsyce do Arabii Saudyjskiej, gdzie firma klienta reprezentowała przedsiębiorstwo budowlane Skanska. Była, zdaje się, mowa o budowie gigantycznego meczetu, który miał powstać w Khamis Mushayt. A może chodziło o uniwersytet w Dżuddzie.

Kilka dni później spotkali się w hotelu Continental w Ystad. Przyszedł wcześniej, w restauracji nie było jeszcze gości. Siedział przy stoliku w rogu i widział, jak nadchodzi. W sali był tylko on i jugosłowiański kelner, który ponuro wpatrywał się w wysokie okno. Była połowa stycznia, gwałtowny wicher znad Bałtyku miał wkrótce przywiał śnieg. Lecz mężczyzna, który szedł w jego kierunku – z pewnością poniżej pięćdziesiątki – był opalony i miał na sobie ciemnoniebieski garnitur. W jakimś sensie zupełnie nie pasował ani do styczniowej pogody, ani do Ystad. Obcy przybysz z uśmiechem, który nie w pełni harmonizował z opalenizną na twarzy.

Takie było pierwsze zetknięcie z mężczyzną z zamku w Farnholmie. Człowiekiem znikąd, w uszytym na miarę niebieskim garniturze. Ten człowiek stanowił osobny świat, którego centrum był uśmiech, a dokoła – jak ciemne satelity – krążyły po dwu orbitach czujne, wzbudzające lęk cienie.

Już za pierwszym razem zauważył te cienie. Nie przypominał sobie, żeby mężczyźni mu się przedstawili. Obaj zajęli miejsca przy stoliku na uboczu i wstali bezszelestnie, gdy spotkanie dobiegło końca.

Złote czasy, pomyślał z goryczą. Byłem na tyle głupi, że w nie uwierzyłem. Świata prawnika nie powinno przesłaniać złudzenie nadchodzącego raju, w każdym razie nie ziemskiego. Po upływie pół roku połowa obrotów kancelarii pochodziła od opalonego mężczyzny, po roku dochód kancelarii się podwoił. Wyплаты przychodziły punktualnie, nie zdarzyło się, by musieli wysyłać upomnienie. Stać ich nawet było na remont domu, gdzie mieściła się kancelaria. Transakcje nie budziły zastrzeżeń, aczkolwiek były skomplikowane i rozsiane po całym świecie. Mężczyzna z zamku w Farnholmie prowadził interesy ze wszystkich kontynentów, na pozór z przypadkowo wybranych miejsc. Faksy, telefony, a nieraz i połączenia radiowe często przychodziły z osobliwych

miast, które z trudem odnajdywał na globusie stojącym obok kanapy w poczekalni. Wszystko było jednak w porządku, chociaż trudno uchwytnie i nie zawsze zrozumiałe.

Nowe czasy – pamiętał, że tak właśnie myślał. Tak wyglądają. Jako adwokat powinienem być nieskończenie wdzięczny, że mężczyzna z Farnholmu trafił akurat na moje nazwisko w książce telefonicznej.

Myśl się urwała jak ucięta nożem. Przez chwilę sądził, że to złudzenie. Potem zauważył światła samochodu w tylnym lusterku.

Ścigali go i byli już bardzo blisko.

Strach natychmiast powrócił. Więc jednak go ścigali. Złękli się, że nie dochowa tajemnicy zawodowej i zacnie mówić.

W pierwszym odruchu chciał mocniej docisnąć pedał gazu i uciekać przez mleczną mgłę. Pot spływał mu po ciele pod koszulą. Światła były tuż za nim.

Cienie, które zabijają, pomyślał. Nie umknę im, nikt im nie umknie.

Po chwili samochód go wyprzedził. Zdążył zauważyć szarą twarz starego człowieka. Zaraz potem czerwone światła zniknęły we mgle.

Wyciągnął chusteczkę do nosa z kieszeni marynarki i otarł pot z twarzy i karku.

Za chwilę będę w domu, pomyślał. Nic się nie stanie. Pani Dunér własnoręcznie zanotowała w biurowym kalendarzu moje dzisiejsze spotkanie w Farnholmie. Nikt, nawet on, nie wysłałby swoich cieni, żeby zgładziły starszego adwokata w drodze do domu. To zbyt ryzykowne.

Upłynęły niemal dwa lata, zanim po raz pierwszy zrozumiał, że coś jest nie tak. Sprawa była błaha; przeglądał kilka transakcji, gdzie Rada Eksportu* figurowała jako gwarant

* Instytucja promująca szwedzki eksport.

wysokiego kredytu. Części zamienne do turbin w Polsce, zniwiarki do Czechosłowacji. Zwrócił jego uwagę pewien drobiazg – kilka liczb, które się nie zgadzały. Myślał, że to błąd maszynowy, dwie pozycje, które zamieniono miejscami. Dopiero gdy cofnął się do punktu wyjścia, zauważył, że to nie przypadek, lecz celowe działanie. Niczego nie brakowało, wszystko znajdowało się na swoim miejscu, a wynik okazał się porażający. Odchylił się do tyłu na krześle, pamiętał, że był późny wieczór, i zdał sobie sprawę, że wpadł na trop przestępstwa. Z początku nie chciał w to uwierzyć. W końcu jednak musiał przyznać, że nie ma innego wyjaśnienia. Dopiero o świcie szedł do domu ulicami Ystad i przystanąwszy w okolicach Stortorget, pomyślał, że jedynym wytłumaczeniem jest to, że mężczyzna z Farnholmu popełnił przestępstwo. Poważne nadużycie zaufania, oszustwo podatkowe na dużą skalę i fałszowanie dokumentów.

Później wciąż szukał czarnych dziur we wszystkich dokumentach, które przychodziły do niego z Farnholmu. I znajdował je, nie zawsze, ale prawie. Powoli zaczynały do niego docierać skala i zasięg przestępstwa. Długo nie chciał spojrzeć prawdzie w oczy. Ale wreszcie musiał.

Mimo to nie zareagował. Nie podzielił się swoim odkryciem nawet z synem.

Czy dlatego, że w głębi duszy nie chciał uwierzyć, że to prawda? Że nikt prócz niego – ani urząd skarbowy, ani żaden inny – nic nie zauważył?

Czyżby wpadł na trop nieistniejącej tajemnicy?

A może już od samego początku było za późno? Od kiedy mężczyzna na zamku w Farnholmie stał się najważniejszym klientem kancelarii?

Mgła w dalszym ciągu gęstniała. Sądził, że się rozproszy, kiedy będzie się zbliżał do Ystad.

W tym momencie rozumiał, że dłużej tak nie może być. Teraz, gdy już wie, że mężczyzna z Farnholmu ma krew na rękach.

Musi porozmawiać z synem. Mimo wszystko istnieje jeszcze w Szwecji sprawiedliwość, nawet jeśli pojęcie sprawiedliwości w szybkim tempie się dewaluuje. Jego własne milczenie też jest częścią tego procesu. To, że tak długo przymykał oczy, nie może usprawiedliwiać dalszego milczenia.

Nigdy nie byłby w stanie odebrać sobie życia.

Nagle gwałtownie przyhamował.

Ujrzał coś w świetle reflektorów. Z początku sądził, że to zając. Potem zorientował się, że coś stoi na drodze we mgle.

Zatrzymał samochód i zapalił długie światła.

Pośrodku drogi stało krzesło. Zwyczajne drewniane krzesło. Siedziała na nim naturalnej wielkości lalka. Miała białą twarz.

Mógł to równie dobrze być człowiek przypominający lalkę.

Czuł w piersi kołatanie serca.

Mgła podpływała do reflektorów.

Nie mógł zignorować krzesła i lalki. Ani paralizującego strachu, który go ogarnął. Spojrzał ponownie w lusterko. Widział tylko ciemność. Ostrożnie podjechał do przodu, na jakieś dziesięć metrów od krzesła z lalką. Wtedy znów się zatrzymał.

Lalka wyglądała zupełnie jak człowiek. Nie jak pośpiesznie sklecony strach na wróble.

Ona jest dla mnie, pomyślał.

Drżącą ręką wyłączył radio i nasłuchiwał. Panowała zupełna cisza. Ciągle nie mógł się zdecydować.

Nie z powodu krzesła we mgle czy niesamowitej lalki. Było tu coś więcej, coś, czego nie mógł dostrzec.

Boję się, pomyślał raz jeszcze. Strach zaćmił mi jasność myślenia.

Wreszcie jednak odpiął pasy bezpieczeństwa i otworzył drzwi samochodu. Zaskoczyło go chłodne, wilgotne powietrze.

Następnie wysiadł z auta ze wzrokiem utkwionym w krzesło i lalkę w blasku reflektorów. Jego ostatnią myślą było, że ten widok przypomina scenę teatralną, na którą za chwilę wejdzie aktor.

Potem usłyszał za sobą jakiś odgłos.

Nie zdążył się odwrócić.

Cios trafił go w tył głowy.

Zanim osunął się na wilgotny asfalt, już nie żył.

Mgła stała się teraz nieprzenikniona.

Była za siedem minut dziesiąta.

2

Porywisty wiatr wiał z północy.

Mężczyzna na wyziębionym brzegu kulił się w jego podmuchach. Od czasu do czasu przystawał i odwracał się tyłem do kierunku wiatru. Stał zupełnie nieruchomo, ze schyloną głową i rękami w kieszeniach płaszcza. Potem znów rozpoczynał pozornie bezcelowy spacer, dopóki nie zniknął w szarym świetle.

Kobieta, która codziennie wyprowadzała psa na brzeg, ze wzrastającym niepokojem obserwowała mężczyznę. Chodził wzdłuż brzegu od świtu do zapadającego po południu zmroku. Pojawił się nagle pewnego dnia, kilka tygodni wcześniej, jak wyrzucony na brzeg rozbitek. Zwykle, gdy mijala nielicznych napotkanych ludzi, pozdrawiali ją skinieniem głowy. Teraz jednak, późną jesienią – zbliżał się listopad – rzadko kogoś spotykała. Człowiek w czarnym płaszczu jej nie pozdrawiał. Z początku sądziła, że to z nieśmiałości, następnie uznała, że z braku wychowania albo dlatego, że jest cudzoziemcem. Jeszcze później odniosła wrażenie, że przytłacza

go wielki smutek, a wędrówki wzdłuż brzegu są pielgrzymką, dzięki której ucieka od jakiegoś nieznanego cierpienia. Krok miał nierówny i podrygujący. Raz szedł powoli, niemal powłócząc nogami, to znów ni stąd, ni zowąd podrywał się i na wpół biegnąc, pokonywał trasę swej osobliwej wędrówki. Wydawało jej się, że nie kierują nim nogi, lecz raczej niespokojne myśli. Wyobrażała sobie, że mężczyzna w kieszeniach trzyma zaciśnięte w pięści dłonie. Nie widziała ich, ale miała pewność, że tak właśnie było.

Po tygodniu uznała, że sprawa jest jasna. Samotny mężczyzna, przybyły nie wiadomo skąd, przechodzi poważny kryzys psychiczny. Podobny był do statku, który na zdradliwym morzu szuka wytyczonego szlaku za pomocą niedokładnej mapy. Stąd jego niedostępność i niespokojne przechadzki. Wieczorami rozmawiała o samotnym wędrowcu ze swoim mężem. Kiedyś nawet wybrali się razem na spacer z psem, mimo że mężowi bardzo dokuczał reumatyzm i najchętniej siedziałby w domu. On też uważał, że jej spostrzeżenia są trafne. Niemniej uznał, że zachowanie mężczyzny jest podejrzane. Zatelefonował do swego dobrego kolegi, policjanta ze Skagen, i zwierzył mu się w zaufaniu. Może to zbieg, osoba poszukiwana, która uciekła z któregoś z niewielu już czynnych szpitali psychiatrycznych? Jednak policjant – człowiek doświadczony, który widział już niejedną dziwaczną postać, odbywającą pielgrzymkę na sam czubek Półwyspu Jutlandzkiego w poszukiwaniu ciszy i ukojenia – rozwiął jego obawy. Niech go zostawią w spokoju. Wybrzeże pomiędzy wydrami i miejscem, w którym stykają się dwa morza, jest kapryśną ziemią niczyją – należy do tego, kto jej potrzebuje.

Kobieta z psem i mężczyzna w czarnym płaszczu przechodzili obok siebie jeszcze przez kolejny tydzień niby dwa mijające się statki. Pewnego dnia, dokładnie dwudziestego czwartego października 1993 roku, wydarzyło się coś, co uznała za przyczynę jego nagłego zniknięcia.

Był to jeden z tych rzadkich bezwietrznych dni, kiedy brzeg i morze toną w nieruchomej mgłę. Syreny okrętowe buczały, niczym porzucona, niewidoczna trzoda. Cały ten osobliwy krajobraz jakby wstrzymał oddech. Nagle spostrzegła człowieka w czarnym płaszczu i gwałtownie przystanąła.

Nie był sam. Stał w towarzystwie niewysokiego mężczyzny w wiatrówce i czapce z daszkiem. Obserwowała ich, nowo przybyły coś mówił – jakby próbował tamtego o czymś przekonać. Od czasu do czasu wyjmował ręce z kieszeni i gestykulował, aby podkreślić jakieś słowo. Nie słyszała, o czym mówili, ale po sposobie bycia nowo przybyłego domyślała się, że jest zdenerwowany.

Po kilku minutach ruszyli wzdłuż brzegu i pochłonęła ich mgła.

Dzień później mężczyzna znów pojawił się na brzegu sam. Jednak po pięciu dniach zniknął. Do późnego listopada chodziła z psem na mierzeję w Grenen, spodziewając się, że znowu spotka ubranego na czarno mężczyznę. Lecz mężczyzna nie powrócił. Nigdy więcej go nie spotkała.

Już przeszło rok komisarz Kurt Wallander z ystadzkiej policji przebywał na zwolnieniu lekarskim i nie był w stanie podjąć pracy. Przez cały ten czas rosło w nim poczucie bezsilności i ono kierowało jego czynami. Raz za razem, gdy już nie wytrzymał w Ystad i mógł sobie na to pozwolić, wyruszał w bezplanowe podróże w próżnej nadziei, że gdy tylko znajdzie się gdzie indziej, lepiej się poczuje, a może nawet odzyska podstawowy napęd życiowy. Wykupił wycieczkę na Karaiby. Już w samolocie był mocno podпиты, a podczas dwóch tygodni spędzonych na Barbadosie ani razu na dobre nie wytrzeźwiał. Cały ten pobyt wprowadził go w stan narastającej paniki, dominowało w nim uczucie, że nigdzie nie czuje się u siebie. Chował się w cieniu palm, w niektóre dni nie opuszczał nawet pokoju hotelowego, bojąc się kontaktu z innymi ludźmi. W morzu wykapał się

tylko jeden raz, kiedy zatoczył się na pomoście i wpadł do wody. Pewnego wieczoru, gdy wreszcie odważył się wyjść między ludzi, aby odnowić swój zapas alkoholu, zaczęła go prostytutka. Usiłował przegonić ją i przytrzymać jednocześnie. Ale uczucie desperacji i pogardy dla samego siebie było silniejsze. Spędził trzy doby z dziewczyną w cuchnącej witriolem norze, w brudnej pościeli o zapachu pleśni, a po jego spoconej twarzy po omacku przesuwaly się karaluchy z wysuniętymi czułkami. Pozostały mu z tego czasu mgliste migawki wspomnień. Nie potrafił sobie przypomnieć imienia dziewczyny, nie był nawet pewny, czy je znał. Kładł się na niej z furją, szukając zaspokożenia. Kiedy już wyciągnęła od niego ostatnie pieniądze, pojawiło się dwóch krzepkich braci i wyrzucili go za drzwi. Wallander wrócił do hotelu, żywiąc się do końca pobytu jedynie śniadaniem, które były opłacone, i wysiadł na lotnisku w Sturupie w gorszym stanie niż przed wyjazdem. Lekarz, u którego bywał na regularnych kontrolach, był zdenerwowany i zabronił mu tego rodzaju wycieczek z obawy, że Wallander kompletnie się rozpije. Jednak dwa miesiące później, na początku grudnia, komisarz ponownie wyruszył w podróż za pieniądze pożyczone od ojca pod pretekstem zakupu nowych mebli, co miało poprawić mu nastrój. Podczas całego tego okresu unikał, jak tylko mógł, wizyt u ojca, który właśnie się ożenił z kobietą o trzydzieści lat młodszą, prowadzącą mu dotąd gospodarstwo. Z pieniędzmi w kieszeni Wallander poszedł do ystadzkiego biura podróży i wykupił trzytygodniową wycieczkę do Tajlandii. Powtórzyła się sytuacja z Karaibów, z tą różnicą, że udało się uniknąć całkowitej katastrofy dzięki temu, iż pewien emerytowany aptekarz, który siedział obok niego w samolocie, wylądował w tym samym hotelu co Wallander i zapalawszy do niego sympatią, postanowił interweniować, gdy ten zaczynał pić już od śniadania i zachowywać się w sposób ogólnie zwracający uwagę. Na skutek tej interwencji udało się odesłać Wallandera do domu o tydzień wcześniej, niż było w planie. Również tym razem zagłuszał

uczucie wstrętu do samego siebie w ramionach kolejnych, coraz to młodszych prostytutek. Później przez całą koszmarną zimę żył w stałym strachu przed śmiertelną chorobą. Pod koniec kwietnia, niemal po roku, okazało się, że uniknął zarażenia. Przyjął to obojętnie i mniej więcej w tym samym czasie jego lekarz zaczął się poważnie zastanawiać, czy Kurt Wallander nadaje się jeszcze do pracy w policji, a nawet w ogóle do pracy, i czy nie kwalifikuje się raczej do jak najszybszego przejścia na rentę.

Zaraz potem komisarz wyjechał, a raczej uciekł po raz pierwszy do Skagen. Udało mu się skończyć z piciem dzięki córce Lindzie, która powróciwszy z Włoch, zastała go w oplakanyam stanie. Postąpiła tak, jak powinna – z porzrzucanych po mieszkaniu butelek wylała resztki alkoholu, a następnie zrobiła ojcu awanturę. Przez dwa tygodnie, kiedy u niego mieszkała, miał wreszcie z kim porozmawiać. Razem udało im się przeciąć najbardziej bolesne wrzody w duszy Wallandera, a w dniu wyjazdu Linda uwierzyła w jego obietnicę, że przestanie pić. Kiedy znów został sam, przeraziła go myśl o przesiadywaniu w pustym domu. W gazecie przeczytał ogłoszenie niedrogiego pensjonatu w Skagen.

Wiele lat wcześniej, gdy Linda była jeszcze niemowlęciem, spędził kilka letnich tygodni w Skagen z żoną Moną. Wspominał ten pobyt jako jeden z najszcześniejszych okresów w swoim życiu. Mieli niewiele pieniędzy, spali w przeciekającym namiocie, lecz przepelniało ich uczucie, że znajdują się w centrum życia i świata. Zatelefonował jeszcze tego samego dnia i zamówił pokój. Przyjechał do pensjonatu na początku maja. Właścicielka – wdowa polskiego pochodzenia – zostawiała go w spokoju, wypożyczyła mu rower i codziennie rano jeździł na bezkresne wybrzeże półwyspu Grenen. Na bagażniku wiózł zapakowane w reklamówkę drugie śniadanie i wracał do pensjonatu dopiero późnym wieczorem. W pensjonacie mieszkali sami starsi ludzie, w pojedynkę lub parami. Panowały tu cisza

i spokój jak w czytelniku. Po raz pierwszy od przeszło roku Wallander zaczął normalnie sypiać i czuł, że to, co się w nim przelało, pomału zaczyna się cofać.

Podczas tego pierwszego pobytu w Skagen napisał trzy listy. Pierwszy do swojej siostry Kristiny. W ciągu minionego roku często się do niego odzywała, żeby się dowiedzieć, jak Kurt się czuje. Mimo że wzduszała go troskliwość siostry, nie był w stanie do niej napisać ani zatelefonować. Co gorsza, pamiętał jak przez mgłę, że znajdując się w stanie upojenia alkoholowego, wysłał do Kristiny bełkotliwą pocztówkę z Karaibów. Nigdy na ten temat nie mówiła, a on nie pytał, mając nadzieję, że był wtedy na tyle pijany, że podał zły adres lub zapomniał nakleić znaczek. Ale podczas pobytu w Skagen pisał do niej w łóżku przed zaśnięciem, z teczką podłożoną pod papier listowy. Usiłował wyrazić uczucia pustki, wstydu i winy, które prześladowały go od czasu, gdy rok wcześniej zabił człowieka. I chociaż nie ulegało wątpliwości, że działał w obronie własnej i nawet najbardziej drażliwa i negatywnie nastawiona do policji prasa nie znalazła dla siebie pożytki, zrozumiał, że już zawsze będzie dźwigał ciężar winy. Nigdy się go nie pozbędzie, w najlepszym razie nauczy się z nim żyć.

Mam wrażenie, że część mojej duszy zastąpiła proteza – pisał. W dalszym ciągu nie potrafię się nią posługiwać. Nieraz, w gorszych chwilach, wydaje mi się, że nigdy się tego nie nauczę. Ale jeszcze się całkowicie nie poddałem.

Drugi list adresowany był do kolegów z komendy policji w Ystad, a kiedy Wallander wreszcie wrzucił go do czerwonej skrzynki na pocztę w Skagen, uświadomił sobie, jak wiele jest w nim nieprawdy. Musiał jednak do nich napisać. Podziękował za sprzęt stereo, który wspólnie mu podarowali ubiegłego lata. Przeprosił, że dziękuje z tak dużym opóźnieniem. Do tego miejsca wszystko było prawdą. Lecz gdy w zakończeniu napisał, że już się lepiej czuje i ma nadzieję niebawem wrócić do pracy, poczuł, że jest to

tylko pobożne życzenie. Rzeczywistość wyglądała całkiem inaczej.

Trzeci list, który napisał podczas pierwszego pobytu w pensjonacie w Skagen, był do Baiby, do Rygi. W ciągu minionego roku pisywał do niej mniej więcej co dwa miesiące i za każdym razem mu odpowiadała. Zaczął ją uważać za swoją patronkę i nie chcąc jej niepokoić – z obawy, że przestanie mu odpisywać – skrywał uczucie, które do niej żywił. Albo tak mu się tylko wydawało. Przewlekły okres wyniszczającej bezsilności spowodował, że niczego już nie był pewien. W rzadkich chwilach absolutnej jasności umysłu, zwykle gdy znajdował się na brzegu lub szukał schronienia wśród wydm przed kłującym wiatrem, zdawał sobie sprawę, że to nie ma sensu. Znał Baibę zaledwie przez kilka krótkich dni w Rydze, kochała swojego zamordowanego męża, kapitana policji Karlisa. Dlaczego, na litość boską, miałyby nagle pokochać szwedzkiego policjanta, który zrobił jedynie to, co do niego należało, chociaż niezupełnie zgodnie z obowiązującym regulaminem? Jednak bez większego trudu potrafił ignorować owe chwile jasności. Jakby obawiał się stracić coś, czego – wiedział to w głębi duszy – nigdy nie posiadał. Baiba, marzenie o Baibie stanowiło ostatni niezdo-byty przyczółek. Wmawiał sobie, że musi go bronić, choćby był tylko złudzeniem.

Spędził w pensjonacie dziesięć dni. Po powrocie do Ystad postanowił tam wrócić, jak tylko będzie mógł. Już w połowie lipca był z powrotem i dostał ten sam pokój. Tym razem również pożyzył rower i spędzał całe dni nad morzem. Inaczej niż poprzednio, plaża była pełna wczasowiczów i miał uczucie, że krąży jak niewidoczny cień, podczas gdy tamci się śmiali, bawili i chlapali w wodzie. Wyglądało na to, że wyznaczył sobie niedostrzegalny dla innych postereunek na mierzei Grenen, gdzie spotykają się dwa morza. Tam patrolował samotnie i stojąc na straży samego siebie, usiłował znaleźć wyjście z oplakanej sytuacji. Po pierwszym pobycie Wallandera w Skagen lekarz dostrzegł pewną popra-

wę w jego stanie zdrowia. Ale była ona zbyt nieznaczna, by można mówić o radykalnej zmianie. Wallander spytał, czy nie mógłby odstawić leków, które brał już od przeszło roku. Czuł się po nich ociężały i zmęczony. Lekarz uważał, że to za wcześnie, i prosił go, by jeszcze na jakiś czas uzbroił się w cierpliwość.

Co rano po przebudzeniu Wallander zadawał sobie pytanie, czy tym razem zdoła wstać z łóżka. Spostrzegł, że łatwiej mu to przychodzi w pensjonacie w Skagen. Zdarzały się chwile lekkości i ulgi, kiedy udawało mu się zrzucić przynajmniej część ciężarów wydarzeń sprzed roku i w przeblyskach nadziei ujrzeć przed sobą przyszłość.

Podczas wielogodzinnych wędrówek wzdłuż brzegu począł ostrożnie wracać do minionych wydarzeń, szukając sposobu, by zapanować nad udręką i znaleźć w sobie siłę, która pozwoliłaby mu znowu stać się policjantem – policjantem i człowiekiem.

W tym czasie przestał również słuchać muzyki operowej. Często na wędrówki brzegiem morza zabierał ze sobą swój mały magnetofon. Jednak pewnego dnia poczuł, że ma dość. Wróciwszy do domu wieczorem, zapakował do walizki wszystkie kasety z muzyką operową i schował je do szafy. Następnego dnia pojechał na rowerze do Skagen i kupił kilka kaset z muzyką pop. O wykonawcach miał tylko mgliste pojęcie. Najbardziej zdziwiło go, że nie odczuwał braku muzyki, która towarzyszyła mu przez tyle lat.

Nie mam już miejsca na więcej, myślał. Jestem czymś wypełniony po brzegi, niedługo to się ze mnie przeleje.

W połowie października powrócił do Skagen. Tym razem z mocnym zamiarem postawienia sobie jasnego celu w życiu. Lekarz zauważył u niego wyraźne znamiona poprawy, stopniowe wychodzenie z przewlekłej depresji, i zachęcał go do wyjazdu do duńskiego pensjonatu, w którym pobyt wyraźnie dobrze mu robił. Dyskretnie,

dochowując tajemnicy lekarskiej, w poufnej rozmowie dał do zrozumienia szefowi policji Björkowi, że istnieje nadzieja na powrót Wallandera do służby w policji.

Powrócił więc do Skagen i na nowo podjął swoje wędrówki. Jak zwykle jesienią, wybrzeże było opustoszałe. Zdarzało się Wallanderowi spotykać nieliczne osoby, z reguły starsze; to jakiegoś ociekającego potem biegacza, to znów ciekawską kobietę na spacerze z psem. Wyruszał samotnie, patrolując obszar, który sam sobie wyznaczył, i maszerował coraz pewniejszym krokiem tuż przy ledwie widocznej, płynnej granicy, gdzie brzeg spotykał się z morzem.

Myślał o tym, że jest na półmetku wieku średniego, za kilka lat skończy pięćdziesiątkę. Przez ostatni rok schudł i znowu mieścił się w ubraniach, które od siedmiu, ośmiu lat wisiały w szafach. Stwierdził, że dawno już nie był w tak dobrej formie fizycznej jak teraz, kiedy przestał pić. Ten fakt mógł stać się punktem wyjścia do układania planów na przyszłość. Jeśli nie zajdzie nic nieprzewidzianego, może jeszcze żyć co najmniej dwadzieścia lat. W gruncie rzeczy jego wątpliwości dotyczyły tego, czy będzie w stanie wrócić na służbę, czy też powinien spróbować zająć się czymś zupełnie innym. Nie dopuszczał do siebie myśli o przejściu na rentę. Takiego życia by nie zniósł. Spędzał czas nad brzegiem morza, najczęściej w oparach dryfującej mgły, która z rzadka ustępowała miejsca dniom z czystym i przejrzystym powietrzem, gdy nad migoczącymi falami szybowaly mewy. Niekiedy czuł się jak mechaniczny człowiek-zabawka, któremu zapodział się gdzieś kluczyk do nakręcania, więc on tym samym stracił źródło wcześniejszej energii. Zastanawiał się, co mógłby robić, gdyby porzucił zawód policjanta. Prawdopodobnie dostałby pracę jako szef niższego szczebla w jakiejś firmie ochroniarskiej. Nie bardzo wiedział, do czego innego może przydać się policyjne doświadczenie, jeśli nie do śledzenia przestępców. Możliwości było niewiele, chyba żeby zdecydował się na radykalną zmianę, pozostawiając na zawsze za sobą lata przepracowane w policji. Kto chciał-

by jednak zatrudnić niemal pięćdziesięcioletniego byłego policjanta, który poza rozwikływaniem mniej lub bardziej zagmatwanych przestępstw niewiele potrafi?

Opuszczał brzeg morza, gdy zaczynał mu doskwierać głód. Siadał na zimnym piasku między wydrami, w miejscu osłoniętym od wiatru, i wyjmował termos i kanapki. Jedząc, usiłował bez większego powodzenia zastanawiać się nad czymś innym niż nad swoją przeszłością. Zmuszał się do racjonalnego myślenia, równocześnie czując, że gdzieś w zakamarkach jego mózgu czają się nierealne marzenia, które tylko czekają, aby odezwać się z większą siłą.

Podobnie jak innych policjantów, kusila go nieraz myśl, by znaleźć się po drugiej stronie, popełniać przestępstwa. Często się dziwił, dlaczego policjanci popełniający przestępstwa tak rzadko wykorzystują swoją wiedzę na temat najbardziej elementarnej procedury śledczej, aby uniknąć wpadki. W myślach układał sobie rozmaite scenariusze przestępstw, dzięki którym stałby się bogaty i niezależny. Na ogół dość szybko i z niesmakiem przepędzał tego rodzaju myśli. Za żadne skarby nie chciał się upodobnić do kolegi z pracy, Hanssona. Jak opętany, spędzał on większą część życia, obstawiając konie, które niemal nigdy nie wygrywały. Wallander uważał to za kompletną stratę czasu.

Później powracał do swojej wędrówki. Jego myśli poruszały się po polu wyznaczonym przez figurę trójkąta, w którego najdalszym kącie zawisło pytanie, czy mimo wszystko nie powinien na nowo podjąć pracy w policji. Wrócić, odpędzać wspomnienia z ubiegłego roku, być może nauczyć się pewnego dnia z nimi żyć. Powrót do poprzedniego zajęcia był jedyną realistyczną opcją. Świadomość, że usuwając z otoczenia groźnych przestępców, przyczynia się do zwiększenia bezpieczeństwa ludzi, dawała mu iskierkę nadziei na sens w życiu. Jeśli z tego zrezygnuje, to nie tylko straci pracę, do której, jak wiedział, nadaje się lepiej niż wielu jego kolegów, lecz odetnie się od tego, co gdzieś głęboko w nim tkwi – od uczucia, że jest częścią jakiejś większej całości, nadającej treść jego egzystencji.

Ostatecznie jednak po tygodniu spędzonym w Skagen, gdy jesień coraz wyraźniej przechodziła w zimę, zrozumiał, że nie podoła. Czas, kiedy był policjantem, bezpowrotnie minął, rany, które nosił w sobie po zeszlorocznych wydarzeniach, zmieniły go na zawsze.

Tego popołudnia, gdy gęsta mgła przesłaniała mierzeje Grenen, zrozumiał, że wyczerpał już wszystkie argumenty za i przeciw. Porozmawia z lekarzem i z Björkiem. Nie wróci na służbę.

Poczuł od razu wewnętrzną ulgę. Przynajmniej jednego był pewien. Dosięła go zemsta człowieka, którego rok temu zabił na polu, wśród niewidocznych owiec.

Tego samego wieczoru pojechał rowerem do Skagen i upił się w małej, zadymionej restauracji, gdzie było niewiele gości i zbyt głośna muzyka, przekonany, że tym razem nie będzie pił następnego dnia, że jest to tylko utwierdzenie się w posępnej prawdzie, że jego życie policjanta dobiegło końca. Kiedy, zataczając się na rowerze, wracał w nocy do domu, przewrócił się i podrapał sobie policzek. Właścicielka pensjonatu jeszcze nie spała, zaniepokojona, że nie wrócił jak zwykle do domu. Pomimo jego słabych protestów obmyła mu twarz i obiecała wyprać zabrudzone ubranie. Później pomogła mu otworzyć drzwi do pokoju.

– Był tu wieczorem jakiś pan i pytał o pana Wallandera – poinformowała, wręczając mu klucz.

Wallander patrzył na nią, nie rozumiejąc.

– Nikt o mnie nie mógł pytać – odparł. – Nikt nie wie, że tu jestem.

– Ten pan wiedział. Zależało mu, żeby się z panem zobaczyć.

– Mówił, jak się nazywa?

– Nie. Ale to był Szwed.

Wallander pokiwał głową i wymazał z pamięci tę wiadomość. Nie chciał się z nikim spotykać i był pewny, że z nim również nikt nie chce się widzieć.

Nazajutrz, gdy pełen skruchy udał się na wybrzeże, nie pamiętał już słów właścicielki z poprzedniej nocy. Mgła była gęsta, czuł się bardzo zmęczony. Po raz pierwszy zadał sobie pytanie, co właściwie tu robi. Po przejściu niespełna kilometra począł wątpić, czy będzie w stanie iść dalej, usiadł więc na dnie przewróconego wraku dużej łodzi, na wpół zagrzebanej w piachu.

W tej samej chwili zauważył mężczyznę, który wynurzywszy się z mgły, zmierzał w jego kierunku.

Jak gdyby ktoś niespodziewanie wszedł do jego biura, znajdującego się na bezkresnym wybrzeżu.

Z początku ujrzał nieznaną sylwetkę w wiatrówce i czapce z daszkiem, jakby nieco za dużej. Po chwili postać wydała mu się znajoma. Jednak dopiero gdy wstał, a mężczyzna podszedł bliżej, zobaczył, kogo ma przed sobą. Witając się, Wallander skrywał zaskoczenie. Skąd wiedział, gdzie mnie szukać, pomyślał. Usiłował sobie przypomnieć, kiedy ostatnio spotkał Stena Torstenssona. Musiało to być na posiedzeniu w związku z jakimś tymczasowym aresztowaniem, ubiegłej wiosny, tak brzemiennej w skutki.

– Szukałem cię wczoraj w pensjonacie – odezwał się Sten Torstensson. – Nie chciałem cię niepokoić. Ale muszę z tobą porozmawiać.

Kiedyś byłem policjantem, a on adwokatem, pomyślał Wallander. Po prostu. Koło nas zasiadali przestępcy, i co jakiś czas, bardzo rzadko, sprzecaliśmy się, czy nakaz aresztowania jest uzasadniony. Poznaliśmy się bliżej w trudnym okresie, prowadził moją sprawę rozwodową z Moną. Pewnego dnia zauważyliśmy, że coś się wydarzyło, coś, co mogło być początkiem przyjaźni. Przyjaźń rodzi się często ze spotkania, od którego nikt nie oczekuje cudu. Ale przyjaźń to jest cud, tego mnie nauczyło życie. Zaprosił mnie na swoją żaglówkę na jakąś sobotę i niedzielę, już kiedy Mona ode mnie odeszła. Wiało jak diabli, sama myśl o tym, że miałbym znowu kiedyś wejść na łódź, napawała mnie wstrętem. Potem zaczę-

liśmy się widywać, niezbyt często, ze stosownymi przerwami. Teraz mnie odnalazł i chce ze mną porozmawiać.

– Słyszałem, że ktoś mnie szukał – odpowiedział Wallander. – Jak, do diabła, mnie tu znalazłeś?

Czuł, że nie potrafi ukryć irytacji z powodu wtargnięcia do jego twierdzy, obwarowanej morzem i wydramami.

– Znasz mnie – powiedział Sten Torstensson. – Nie lubię się narzucać. Moja sekretarka wręcz twierdzi, że boję się narzucać sam sobie, cokolwiek by to miało znaczyć. Zadzwoiłem do Sztokholmu do twojej siostry. Właściwie skontaktowałem się z twoim ojcem i on mi dał jej numer. Znała nazwę pensjonatu i wiedziała, gdzie leży. Przyjechałem wczoraj i noc spędziłem w hotelu koło Muzeum Sztuki.

Ruszyli wzdłuż brzegu, wiatr dmuchał im w plecy. Kobieta, która zwykle spacerowała z psem, stanęła w miejscu, przyglądając się im. Wallander przypuszczał, że musiała się zdziwić na widok jego gościa. Szli w milczeniu, Wallander wyczekiwał, nienawykły do towarzystwa.

– Musisz mi pomóc – przemówił wreszcie Torstensson.
– Jako przyjaciel i policjant.

– Jako przyjaciel – odparł Wallander. – Chociaż wątpię, czy potrafisz. Nie jako policjant.

– Wiem, że w dalszym ciągu jesteś na zwolnieniu – powiedział Sten Torstensson.

– Nie tylko – odrzekł Wallander. – Jesteś pierwszą osobą, której mówię, że nie będę już policjantem.

Sten Torstensson raptownie przystanął.

– Jest, jak jest – podsumował Wallander. – Powiedz raczej, dlaczego przyjechałeś?

– Mój ojciec nie żyje.

Wallander znał jego ojca. Był również adwokatem. Ale tylko wyjątkowo występował jako obrońca w sprawach karnych. O ile Wallander sobie przypominał, zajmował się głównie doradztwem finansowym. Usiłował obliczyć, ile ojciec Stena mógł mieć lat. Chyba około siedemdziesiątki, wiek, którego wielu nie dożywało.

– Kilka tygodni temu zginął w wypadku samochodowym – ciągnął Sten Torstensson. – Tuż na południe od Wzgórz Brösarpskich.

– Bardzo mi przykro – powiedział Wallander. – Jak to się stało?

– O to właśnie chodzi – odparł Sten. – Dlatego tutaj przyjechałem.

Wallander spojrzał na niego ze zdziwieniem.

– Zimno tu – zauważył Sten Torstensson. – W Muzeum Sztuki można napić się kawy. Mam samochód.

Wallander kiwnął głową. Rower wystawał z bagażnika, gdy jechali między wydiami. W kawiarni Muzeum Sztuki o tak wczesnej porze było mało ludzi. Dziewczyna za ladą nuciła melodię, którą zaskoczony Wallander rozpoznał z niedawno zakupionej przez siebie kasyety.

– Był wieczór – zaczął Sten Torstensson. – Dokładnie jedenastego października. Ojciec złożył wizytę jednemu z naszych najważniejszych klientów. Według policji, jechał z dużą szybkością, stracił panowanie nad wozem, wpadł w poślizg i zginął.

– To się dzieje szybko – skomentował Wallander. – Jedna sekunda nieuwagi może mieć katastrofalne następstwa.

– Tego wieczoru była mgła – powiedział Sten Torstensson. – Ojciec nigdy nie jeździł szybko. Dlaczego miałby to robić w czasie mgły? Panicznie się bał, że przejedzie zającą.

Wallander przyglądał mu się w zamyśleniu.

– Coś ci chodzi po głowie – orzekł.

– Dochodzenie prowadził Martinsson – poinformował Sten Torstensson.

– On jest dobry – zapewnił Wallander. – Jeżeli mówi, że tak było, nie ma powodu, aby mu nie ufać.

Sten Torstensson popatrzył na niego z powagą.

– Nie mam wątpliwości, że Martinsson jest zdolnym policjantem. Ani że ojciec leżał martwy w pogruchatanym samochodzie, który wylądował na dachu w polu. Chodzi o to, że zbyt dużo rzeczy się nie zgadza. Coś musiało się wydarzyć.

- Ale co?
- Coś innego.
- Na przykład?
- Nie wiem.

Wallander się podniósł i poszedł dolać sobie kawy.

Dlaczego nie powiem mu prawdy, pomyślał. Że Martinsson ma wyobraźnię i energię, ale bywa niedbały.

– Przeczytałem materiał dochodzeniowy – kontynuował Sten Torstensson, kiedy Wallander usiadł z kawą. – Wziąłem go ze sobą na miejsce, gdzie zginął mój ojciec. Przeczytałem protokół obdukcji, rozmawiałem z Martinssonem, zastanawiałem się i na nowo zadawałem pytania. Teraz jestem tutaj.

– Jak mam ci pomóc? – spytał Wallander. – Przecież jako adwokat wiesz, że w każdej sprawie lub dochodzeniu istnieją białe plamy, których nie potrafimy wypełnić. W chwili wypadku ojciec był sam w samochodzie. Jeśli cię dobrze zrozumiałem, nie ma żadnych świadków. Jedyńm, który mógłby przedstawić prawdziwą wersję wydarzenia, był twój ojciec.

– Coś się stało – powtórzył Sten Torstensson. – Coś się nie zgadza. Chcę wiedzieć co.

– Nie mogę ci pomóc – odparł Wallander. – Naprawdę chciałbym.

Wydawało się, że Sten Torstensson go nie słyszy.

– Kluczyki – powiedział. – Jako przykład. Nie tkwiły w stacyjce. Leżały na podłodze.

– Mogły zostać wypchnięte – zauważył Wallander. – Przy wgniecionej karoserii wszystko jest możliwe.

– Stacyjka była nienaruszona. Kluczyki nie miały najmniejszego odkształcenia.

– Nawet to można jakoś wytłumaczyć – powiedział Wallander.

– Mógłbym ci podać więcej przykładów – ciągnął dalej Sten Torstensson. – Wiem, że coś się stało. Mój ojciec zginął w wypadku samochodowym, który był czymś innym.

– Czy mógł popełnić samobójstwo? – zapytał Wallander po chwili namysłu.

– Przyszło mi to na myśl – przyznał Sten Torstensson. – Ale to, moim zdaniem, wykluczone. Znałem mojego ojca.

– Większość samobójstw zdarza się niespodziewanie – zauważył Wallander. – Możesz oczywiście mieć na ten temat inną opinię.

– Jest jeszcze jeden powód, dla którego nie mogę się pogodzić z wersją wypadku – wyznał Sten Torstensson.

Wallander spojrzał na niego bacznie.

– Ojciec był wesołym człowiekiem i miał łatwość nawiązywania kontaktów z ludźmi – mówił dalej Sten Torstensson.

– Gdybym nie znał go tak dobrze, nie zauważyłbym może nieznaczonej, ledwie zauważalnej, a jednak wyraźnej zmiany, jaka w nim zaszła w ciągu ostatniego pół roku.

– Możesz to dokładniej opisać? – spytał Wallander.

Sten Torstensson przecząco pokręcił głową.

– Właściwie nie – rzekł. – To było raczej wrażenie. Że coś nim wstrząsnęło. Coś, co za wszelką cenę starał się przede mną ukryć.

– Nigdy o tym nie rozmawialiście?

– Nigdy.

Wallander odsunął pustą filiżankę po kawie.

– Nie potrafię ci pomóc, nawet gdybym bardzo chciał – powiedział. – Mogę cię wysłuchać jako przyjaciel. Ale jako policjant już nie istnieję. Nawet mi nie pochlebia, że przyjechałeś taki kawał drogi, żeby ze mną porozmawiać. Czuję się znużony i przygnębiony.

Sten Torstensson otworzył usta, aby coś powiedzieć, ale się powstrzymał.

Wstali i wyszli z kawiarni.

– Muszę to oczywiście uszanować – odezwał się wreszcie Sten Torstensson, kiedy stali przed Muzeum Sztuki.

Wallander odprowadził go do samochodu i wyjął swój rower z bagażnika.

– Ze śmiercią nigdy nie wygramy – niezręcznie próbował go pocieszyć.

– Nie mam takiego zamiaru – odpowiedział Sten Torstenson. – Chcę tylko wiedzieć, co się stało. To nie był zwyyczajny wypadek.

– Porozmawiaj jeszcze raz z Martinssonem – podsunął mu Wallander. – Ale lepiej nie mów, że to wyszło ode mnie.

Pożegnali się, Wallander odprowadził wzrokiem samochód, który zniknął wśród piaszczystych wzgórz.

Nagle zaczął się śpieszyć. Nie mógł już dłużej czekać. Tego samego popołudnia zatelefonował do swojego lekarza i do Björka, żeby oznajmić, że odchodzi z policji.

Został jeszcze pięć dni w Skagen. Nie opuszczało go uczucie, że jego wnętrze jest jak wypalony wojną krajobraz. Poczł jednak ulgę na myśl, że wreszcie podjął decyzję.

W niedzielę trzydziestego pierwszego października wrócił do Ystad, by złożyć podpis na odpowiednich dokumentach i formalnie zakończyć karierę policjanta.

W poniedziałek rano pierwszego listopada leżał w łóżku z otwartymi oczami, kiedy tuż po szóstej zadzwonił budzik. Miał za sobą nieprzespaną noc, poza krótkimi chwilami niespokojnej drzemki. Wiele razy wstawał z łóżka i stojąc przy oknie z widokiem na Mariagatan, myślał, że kolejny raz podjął w życiu niewłaściwą decyzję. Być może nie było już dla niego innej drogi życiowej? Nie znalazłszy zadowalającej odpowiedzi, zrezygnowany przysiadł na kanapie w dużym pokoju i słuchał przyciszonej muzyki, płynącej z radia. Wreszcie, zanim jeszcze zadzwonił budzik, pogodził się z myślą, że nie ma wyboru. Widział jasno, że nadeszła chwila kapitulacji. Ale mówił sobie, że prędzej czy później wszyscy dochodzą do tego punktu. Wszystkich w końcu obezwładniają niewidoczne siły. Nikt się przed tym nie uchroni.

Kiedy zadzwonił budzik, wstał z łóżka, wziął spod drzwi dziennik „Ystads Allehanda”, nastawił kawę w kuchni

i poszedł wziąć prysznic. Wydawało mu się dziwne, że na jeden dzień powraca do dawnej rutyny. Wycierając się pod prysznicem, usiłował przywołać w pamięci ostatni dzień pracy sprzed niemal półtora roku. Było lato, po uprzątnięciu biura udał się do portowej kawiarni, gdzie napisał mętny list do Baiby. Nie był pewny, czy wydaje mu się to czymś odległym, czy nie.

Usiadł przy kuchennym stole i mieszał łyżeczką w filiżance z kawą.

Wtedy był ostatni raz w pracy.

Teraz będzie tam po raz ostatni.

Od dwudziestu pięciu lat jest policjantem. Cokolwiek czeka go w przyszłości, minione dwadzieścia pięć lat ukształtowało jego osobowość i nic tego nie zmieni. Nie pomogą prośby o unieważnienie dotychczasowego życia ani żądanie nowego rozdania. Nie można się cofnąć. Pytanie, czy można jeszcze iść naprzód.

Usiłował nazwać uczucia nurtujące go tego jesiennego poranka. Ale w głowie miał pustkę. Jak gdyby jesienne mgły wtargnęły do jego świadomości.

Westchnął i sięgnąwszy po gazetę, zaczął ją pobieżnie przeglądać. Wędrował wzrokiem po tytułach, odnosząc wrażenie, że już niejedną raz oglądał te same zdjęcia i czytał te same teksty.

Zamierzał właśnie odłożyć dziennik, kiedy jego uwagę zwrócił nekrolog.

Z początku się nie zorientował. Potem poczuł ucisk w żołądku.

„Sten Torstensson, adwokat, urodzony 3 marca 1947, zmarł 26 października 1993”.

Wallander zdezorientowany wpatrywał się w nekrolog.

Zmarł przecież ojciec, Gustaw Torstensson? Ze Stenem widział się niespełna tydzień temu na wybrzeżu Grenen.

Szukał wyjaśnienia. To musi być ktoś inny. Albo pomyłono osoby. Jeszcze raz przeczytał nekrolog. Nie było omyłki.

Sten Torstensson, mężczyzna, który pięć dni wcześniej odnalazł go w Skagen, już nie żył.

Siedział bez ruchu.

Potem wstał, sięgnął po książkę telefoniczną i wybrał numer. Wiedział, że ten, do którego dzwoni, jest już na nogach.

– Martinsson! – odpowiedział Martinsson.

Wallander z trudem się powstrzymał, żeby nie odłożyć słuchawki.

– Mówi Kurt – powiedział. – Mam nadzieję, że cię nie obudziłem.

W słuchawce zapanowała długa cisza, potem usłyszał głos Martinssona.

– To ty? – powiedział tamten. – Ciebie się nie spodziewałem.

– Wiem – odparł Wallander. – Ale muszę cię o coś zapytać.

– Nie mogę uwierzyć, że chcesz odejść – oznajmił Martinsson.

– Na to wygląda – odrzekł Wallander. – Ale nie w tej sprawie dzwonię. Chciałbym wiedzieć, co się stało z mecenasem Stenem Torstenssonem.

– Nie wiesz? – zapytał Martinsson.

– Przyjechałem do Ystad wczoraj wieczorem – oznajmił Wallander. – Nic nie wiem.

Martinsson ociągał się z odpowiedzią.

– Został zamordowany – wyjaśnił wreszcie.

Wallander wcale się nie zdziwił. W chwili kiedy zobaczył nekrolog, od razu zrozumiał, że Sten nie umarł naturalną śmiercią.

– Został zastrzelony w swojej własnej kancelarii we wtorek wieczorem – ciągnął Martinsson. – To nie do pojęcia. Taka tragedia. Kilka tygodni temu jego ojciec zginął w wypadku samochodowym. O tym może też nie wiedziałeś?

– Nie – skłamał Wallander.

– Wróć na służbę – powiedział Martinsson. – Potrzebujemy cię do wyjaśnienia tej sprawy. I wielu innych.

– Nie – odpowiedział Wallander. – To już postanowione. Wytlumaczę ci, jak się zobaczymy. Ystad to małe miasto. Prędzej czy później się spotkamy.

Szybko zakończył rozmowę.

W tym samym momencie zrozumiał, że to, co przed chwilą powiedział Martinssonowi, jest nieprawdą. W ciągu jednej chwili wszystko się zmieniło.

Przez ponad pięć minut stał nieruchomo koło telefonu w przedpokoju. Potem wypił kawę, ubrał się i zszedł do samochodu. Tuż po wpół do ósmej po raz pierwszy od przeszło półtora roku przekroczył drzwi komendy. Przywitał się skinieniem głowy ze strażnikiem w recepcji, skierował się prosto do gabinetu Björka i zapukał do drzwi. Björk przyjął go na stojąco. Wallander zauważył, że tamten zeszczuplał, widział również, że nie bardzo panuje nad sytuacją.

Ułatwię mu sprawę, pomyślał. Ale z początku nic nie będzie mógł zrozumieć. Podobnie zresztą jak ja.

– Cieszymy się naturalnie, że już lepiej się czujesz – zaczął niepewnie Björk. – Ale z pewnością wolelibyśmy, żebyś powrócił na służbę, zamiast nas opuszczać. Jesteś nam potrzebny.

Wskazał ręką na swój zavalony papierami stół.

– Dzisiaj muszę zająć stanowisko w tak różnych sprawach, jak projekt nowego uniformu dla policji oraz kolejna niezrozumiała propozycja zmian w wojewódzkich zarządach policji i wśród wojewódzkich szefów policji. Wiesz coś na ten temat?

Wallander pokręcił przecząco głową.

– Zastanawiam się, dokąd to wszystko zmierza – ciągnął ponuro Björk. – Jeśli przejdzie projekt nowych mundurów, to, moim zdaniem, przyszły policjant będzie wyglądał jak ni to stolarz, ni to konduktor w pociągu.

Spojrzał wyczekująco na Wallandera, ale ten w dalszym ciągu milczał.

– W latach sześćdziesiątych zreorganizowano policję – mówił dalej. – Teraz wszystko ma się znowu zmienić.

Parlament postanowił zlikwidować lokalne zarządy policji i ustanowić tak zwaną policję krajową. Ale policja przecież zawsze była krajowa? Czy może być inna? Prawa dzielnicowe przestały obowiązywać już w średniowieczu. Jak poradzimy sobie z codzienną pracą, jeżeli zasypią nas stosem mętnych dokumentów? Ponadto muszę przygotować wystąpienie na całkowicie niepotrzebnej konferencji na temat tak zwanej techniki wydalania z kraju. W normalnym języku chodzi o to, żeby bez zbędnego rozgłosu i przepychanek wydalać autokarami i promami ludzi, którym odmówiono zezwolenia na pobyt.

– Rozumiem, że masz mnóstwo różnych spraw – odparł Wallander i pomyślał, że Björk w ogóle się nie zmienił. Nigdy się nie odnalazł w roli szefa. Stanowisko go przerosło.

– Ty najwyraźniej nie pojmujesz, że potrzebujemy wszystkich dobrych policjantów, jacy istnieją – rzekł Björk i ciężko usiadł za biurkiem. – Mam tu wszystkie papiery – mówił dalej. – Brakuje tylko twojego podpisu, abyś zamienił się w byłego policjanta. Muszę się pogodzić z twoją decyzją, choć robię to z wielką niechęcią. Spodziewam się, że nie będziesz miał nic przeciwko temu, że na dziewiątą wyznaczyłem konferencję prasową. W ciągu ostatnich kilku lat stałeś się znany, Kurt. Mimo że niekiedy postępowałeś trochę nietypowo, przyczyniłeś się niewątpliwie do poprawy naszego wizerunku. Niektórzy twierdzą, że nowo przyjęci kandydaci na policjantów pod twoim wpływem zdecydowali się zdawać do Wyższej Szkoły Policji.

– To z pewnością nieprawda – zaprzeczył Wallander. – A konferencję prasową możesz odwołać.

Zauważył, że Björk jest poirytowany.

– Nie ma mowy – odpowiedział tamten. – Przynajmniej tyle możesz zrobić dla swoich kolegów. Poza tym chce o tobie napisać „Svensk Polis”.

Wallander podszedł do biurka.

– Nie rezygnuję – oznajmił. – Przyszedłem dzisiaj z zamiarem podjęcia pracy.

Björk patrzył na niego skonsternowany.

– Nie będzie żadnej konferencji prasowej – ciągnął Wallander. – Od dziś wracam na służbę. Poproszę mojego lekarza, żeby uznał mnie za zdrowego. Czuję się dobrze. Chcę podjąć pracę.

– Mam nadzieję, że nie przyszedłeś się ze mnie nabijać...
– zaczął zbity z tropu Björk.

– Nie – zapewnił Wallander. – Zdarzyło się coś, co spowodowało, że zmieniłem zdanie.

– Bardzo mnie zaskoczyłeś – powiedział Björk.

– Siebie samego również – przyznał Wallander. – Tak naprawdę podjąłem decyzję jakąś godzinę temu. Mam tylko jeden warunek. A raczej prośbę.

Björk skinął głową z zaciekawiony.

– Chcę się zająć sprawą Stena Torstenssona – oznajmił Wallander. – Kto prowadzi dochodzenie?

– Biorą udział wszyscy – odpowiedział Björk. – W grupie dochodzeniowej jest Svedberg, Martinsson i ja. Z prokuratury Per Åkeson.

– Sten Torstensson był moim przyjacielem – oświadczył Wallander.

Björk pokiwał głową i wstał zza biurka.

– Czy to aby prawda? – zapytał. – Zmieniłeś zdanie?

– Słyszałeś, co powiedziałem.

Björk wyszedł zza biurka i stanął naprzeciwko Wallandera.

– Dawno nie miałem lepszej wiadomości – oznajmił.
– Możemy już podrzeć te papiery. To się twoi koledzy zdziwią.

– Kto zajął moje dawne biuro? – zapytał wymijająco Wallander.

– Hansson.

– Chciałbym tam wrócić, jeżeli to możliwe.

– Naturalnie. Zresztą Hansson jest w tym tygodniu na kursie szkolenia zawodowego w Halmstad. Możesz się tam od razu wprowadzić.

Wyszli razem na korytarz i przystanęli przed drzwiami dawnego pokoju Wallandera.

Na drzwiach nie było plakietki z jego nazwiskiem. Poczul uklucie gniewu.

– Muszę mieć godzinę dla siebie – powiedział.

– Zebranie w sprawie morderstwa Stena Torstenssona odbędzie się o wpół do dziewiątej – poinformował Björk. – W małym pokoju konferencyjnym. Jesteś pewny, że mówisz poważnie?

– Nie mam ochoty na żarty.

Po chwili wahania Björk mówił dalej:

– Zdarzało ci się postępować odrobinę nierozważnie, a nawet nieobliczalnie. Sam musisz przyznać.

– Nie zapomnij odwołać konferencji – przypomniał Wallander.

Björk podał mu rękę.

– Witaj z powrotem – powiedział.

– Dziękuję.

Wallander zamknął za nim drzwi i natychmiast zdjął słuchawkę z widełek. Rozejrzał się po pokoju. Biurko było nowe. Należało do Hanssona. Ale stare krzesła były jego, Wallandera.

Powiesił kurtkę i usiadł.

Ten sam zapach, pomyślał. Ten sam środek do czyszczenia, to samo suche powietrze i ten sam słaby zapach kawy, która bezustannie leje się w tym budynku.

Długo siedział bez ruchu.

Męczył się z górą rok, poszukując prawdy o sobie i swojej przyszłości. Z wolna dojrzywało w nim postanowienie, przebijając się przez apatię. Potem otworzył gazetę i wszystko się zmieniło.

Po raz pierwszy od bardzo dawna poczul przyjemny dreszcz w całym ciele.

Podjął decyzję. Nie wiedział, czy jest słuszna. Ale to już nie miało znaczenia.

Pochylił się nad biurkiem, przysunął sobie notes i zapisał tylko dwa słowa:

Sten Torstensson.
Wrócił na służbę.

3

O wpół do dziewiątej, gdy Björk zamknął drzwi do pokoju zebrania, Wallander poczuł się tak, jak gdyby nigdy nie miał przerwy w pracy. Półtora roku, które minęło od czasu, kiedy ostatnio brał udział w zebraniu grupy dochodzeniowej, nagle przestało istnieć.

Siedzieli teraz wokół owalnego stołu, tak jak wiele razy przedtem. Ponieważ Björk jeszcze nie zabrał głosu, Wallander przypuszczał, że koledzy spodziewają się krótkiej, zwyczajowej mowy z podziękowaniem dla niego za lata spędzone na służbie. Następnie Wallander się oddali, a oni ponownie pochyla się nad swoimi notatkami, aby kontynuować śledztwo w sprawie nieznanego sprawcy, który zamordował Stena Torstenssona.

Wallander usiadł na swoim zwykłym miejscu, po lewej stronie Björka. Krzesło obok niego było puste. Jak gdyby koledzy nie chcieli siedzieć za blisko kogoś, kto właściwie nie jest już jednym z nich. Naprzeciwko siedział Martinsson i hałaśliwie wycierał nos. Wallander zastanawiał się, czy widział kiedyś niezakatarzonego Martinssona. Obok niego kołysał się na krześle Svedberg, swoim zwyczajem skrobiąc się ołówkiem w łysinę.

Wszystko byłoby jak zwykle, myślał Wallander, gdyby nie siedząca samotnie przy drugim końcu stołu kobieta w dżinsach i niebieskiej koszuli. Wallander nigdy wcześniej jej nie widział, lecz wiedział, kim ona jest, a nawet jak się nazywa. Jakies dwa lata temu zaczęto mówić o potrzebie wzmocnienia sekcji kryminalnej ystadzkiej policji i wtedy nazwisko Ann-Britt Höglund pojawiło się po raz pierwszy. Była młoda, zaledwie trzy lata temu ukończyła Wyższą Szkołę Policji,

ale już zwróciła na siebie uwagę. Należała do dwójki absolwentów wyróżnionych za dobre wyniki w nauce i wzorową postawę – przykład dla innych kandydatów na oficerów policji. Pochodziła ze Svarte w Skanii, ale dzieciństwo spędziła na przedmieściu Sztokholmu. Biły się o nią okręgi w całym kraju, ona jednak postanowiła wrócić do okolic, z których pochodzi, i przyjmując pracę w komendzie w Ystad.

Wallander ściągnął na siebie jej wzrok, w odpowiedzi uśmiechnęła się do niego przelotnie.

Zatem wszystko jest inaczej niż kiedyś, przemknęło mu przez myśl. Z kobietą w zespole nie będzie już tak samo.

Z zadumy wyrwał go Björk, który wstał z krzesła. Wallandera nagle ogarnął niepokój. Może już jest na wszystko za późno? Może już został zwolniony, a jeszcze o tym nie wie?

– Poniedziałkowe ranki są zazwyczaj ciężkie – zaczął Björk. – Zwłaszcza dzisiaj, kiedy mamy się zająć szczególnie ponurym i niezrozumiałym mordercą, popełnionym na naszym znajomym, mecenasie Torstenssonie. Jednak tym razem mam na początek dobrą wiadomość. Kurt oznajmił, że jest zdrowy i od dziś przystępuje do pracy. Co do mnie, to z radością witam cię w naszym gronie – zwrócił się do Wallandera. – I wiem, że wszyscy twoi koledzy czują to samo. A także Ann-Britt, której jeszcze nie poznałeś.

W pokoju zapanowała cisza. Martinsson z niedowierzaniem wpatrywał się w Björka, podczas gdy Svedberg, przechyliwszy na bok głowę, nieufnie przyglądał się Wallandero wi. Ann-Britt sprawiała wrażenie, jak gdyby słowa Björka do niej nie dotarły.

Wallander zrozumiał, że wypadaloby coś powiedzieć.

– To prawda – zapewnił. – Od dziś wracam do pracy.

Svedberg przestał się kołysać na krześle i z hukiem uderzył dłońmi w stół.

– To dobrze, Kurt. Klnę się na moją duszę, że jeszcze jeden dzień bez ciebie, a wszystko by się zawaliło.

Na ten spontaniczny komentarz Svedberga wszyscy wybuchnęli śmiechem. Kolejno podchodzili do Wallandera

ra, podając mu rękę. Podczas gdy on z trudem próbował ukryć wzruszenie, Björk starał się zorganizować ciastka do kawy.

Wszystko to trwało kilka minut. Nie mieli więcej czasu na okazywanie uczuć, z czego Wallander był w tym momencie zadowolony. Otworzył przyniesiony z biura notes, w którym zapisał tylko jedno nazwisko: Sten Torstensson.

– Kurt mnie pytał, czy może od razu włączyć się do śledztwa – powiedział Björk. – Uważam, że nie ma żadnych przeszkód. Zacznijmy teraz od podsumowania tego, co dotychczas wiemy. Potem damy Kurtowi czas na zapoznanie się ze szczegółami.

Skinął na Martinssona, który najwyraźniej przejął rolę Wallandera jako referującego przebieg wydarzeń.

– Jestem w dalszym ciągu lekko oszołomiony – zaczął Martinsson, przerzucając notatki. – Ale w zasadzie wygląda to następująco: W środę rano, dwudziestego siódmego października, czyli pięć dni temu, Berta Dunér, sekretarka, zjawiała się jak zwykle w pracy parę minut przed ósmą. Tam zastała martwego Stena Torstenssona, zastrzelonego we własnym gabinecie. Leżał na podłodze, między biurkiem a drzwiami. Został trafiony trzema strzałami, z których każdy był śmiertelny. Ponieważ w budynku nie ma mieszkańców i jest to stary, kamienny dom o grubych murach, w dodatku stojący przy ruchliwej ulicy, nikt nie słyszał strzału. W każdym razie nikt się dotychczas nie zgłosił. Pierwsze wyniki obdukcji wskazują na to, że Sten został zastrzelony około wpół do jedenastej wieczorem. To by się zgadzało ze świadectwem pani Dunér, że Sten Torstensson pracował często do późnych godzin wieczornych, szczególnie od czasu tragicznej śmierci ojca.

Martinsson przerwał i spojrzał pytającym wzrokiem na Wallandera.

– Wiem, że ojciec zginął w wypadku samochodowym – powiedział Wallander.

Martinsson skinął głową i mówił dalej:

– Tyle wiemy do tej pory. Jednym słowem, bardzo niewiele. Nie mamy motywu, broni, z której padły strzały, ani świadków.

Wallander przez moment rozważał, czy powinien w tej chwili opowiedzieć o wizycie Stena Torstenssona w Skagen. Zbyt wiele razy w życiu popełnił śmiertelny grzech policjanta – ukrywał informację, którą powinien podzielić się z kolegami. Naturalnie za każdym razem uważał, że ma powody, aby zachować milczenie, ale zdawał sobie sprawę, że jego argumenty opierały się na kruchych podstawach.

Popelniam błąd, myślał. Rozpoczynam drugie życie policjanta od przekreślenia całego wcześniej zdobytego doświadczenia.

Coś mu jednak podpowiadało, że tym razem jest to ważne.

Szanował swój instynkt. Bywał on jego najbardziej zaufanym sprzymierzeńcem lub najgorszym wrogiem.

Wiedział, że tym razem postępuje słusznie.

Uczepiło się go coś, co powiedział Martinsson. A może coś, czego nie powiedział.

Jego rozmyślania przerwało uderzenie dłoni Björka w stół. Często oznaczało to, że szef policji jest zniecierpliwiony lub poirytowany.

– Prosiłem przecież o ciastka – powiedział Björk. – Ale naturalnie nie przychodzą. Proponuję wobec tego przerwę, a wy w tym czasie wprowadźcie Kurta w szczegóły sprawy. Zbierzemy się jeszcze raz po południu. Może do tego czasu obiecane ciastka już nadejdą.

Po wyjściu Björka wszyscy przenieśli się na koniec stołu. Wallander czuł, że powinien coś powiedzieć. Nie miał prawa narzucać swojej obecności grupie, jak gdyby nic się nie wydarzyło.

– Spróbuję zacząć od początku – rzekł. – Mam za sobą trudny okres. Długo wątpiłem, czy będę w stanie powrócić do służby w policji. Zabicie człowieka, nawet w obronie własnej, to ciężkie przeżycie. Ale postaram się zrobić wszystko, co w mojej mocy.

W pokoju zapadła cisza.

– Nie myśl, że cię nie rozumiemy – odezwał się w końcu Martinsson. – Co prawda, pracując w policji, musimy być przygotowani na wszystko, jak gdyby okropnościom nie było końca, mimo to szczerze się przejmujemy, gdy coś dotknie bliskiego kolegę. Jeśli cię to pocieszy, to bardzo nam ciebie brakowało, tak jak przed paroma laty brakowało nam Rydberga.

Zmarły wiosną 1991 roku inspektor kryminalny Rydberg był ich idolem. Dzięki ogromnej wiedzy zawodowej i umiejętności nawiązywania bezpośredniego, osobistego kontaktu stanowił zawsze centralny punkt odniesienia w nieustannie zmieniającym się przebiegu każdego śledztwa.

Wallander zrozumiał, co Martinsson miał na myśli.

On sam był jedynym, który zbliżył się do Rydberga i zdołał się z nim zaprzyjaźnić. Pod szorstką maską odkrył człowieka o dużej wiedzy, znacznie wykraczającej poza tę czysto zawodową.

Otrzymałem schedę, pomyślał Wallander.

Właściwie Martinssonowi chodzi o to, żebym przejął pałeczkę, którą zawsze dzierżył Rydberg. Istnieją przecież niedostrzegalne pałeczki.

– Jeżeli nikt nie ma zastrzeżeń, to pojedę teraz do kancelarii Torstenssona – oznajmił, wstając, Svedberg. – Siedzi tam paru urzędników z Izby Adwokackiej i przeglądają wszystkie dokumenty. Chcieliby, żeby był przy tym ktoś z policji.

Martinsson podsunął Wallanderowi stertę papierów.

– To dotychczasowe materiały – poinformował. – Sądzę, że potrzebujesz chwili dla siebie, żeby to przejrzeć.

Wallander skinął głową.

– Wypadek samochodowy – powiedział. – Gustaw Torstensson.

Martinsson spojrział na niego zdziwiony.

– To zamknięta sprawa – odparł. – Staruszek zjechał z szosy.

– Jeżeli nie masz nic przeciwko temu, chciałbym zajrzeć do raportu – rzekł ostrożnie Wallander.

Martinsson wzruszył ramionami.

– Zostawię go w pokoju Hanssona – oznajmił.

– Już nie – sprostował Wallander. – Dostałem z powrotem mój dawny pokój.

– Szybko zniknąłeś – powiedział, wstając, Martinsson. – I szybko wracasz. Łatwo się przejeździć.

Wyszedł z pokoju, w którym pozostał już tylko Wallander i Ann-Britt Höglund.

– Dużo o tobie słyszałam – powiedziała.

– Wszystko, co słyszałaś, to na pewno prawda. Niestety.

– Myślę, że wiele się będę mogła od ciebie nauczyć.

– Bardzo wątpię.

Wallander wstał pośpiesznie, chcąc zakończyć rozmowę, zgarnął papiery i teczki, które dostał od Martinssona. Ann-Britt Höglund przytrzymała mu drzwi, gdy wychodził na korytarz.

Wszedł do pokoju i zamknął za sobą drzwi. Był cały spociny. Zdjął marynarkę i koszulę i zaczął się wycierać zasłoną okienną. W tej samej chwili Martinsson bez pukania otworzył drzwi. Stał jak wryty na widok półnagiego Wallandera.

– Przyniosłem ci tylko raport o wypadku samochodowym Gustawa Torstenssona. Zapomniałem, że to już nie są drzwi do Hanssona.

– Wciąż jestem staroświecki – przypomniał Wallander.

– Pukaj, proszę, zanim wejdiesz.

Martinsson położył teczkę na biurku i szybko zniknął. Wallander wytarł się do sucha, włożył koszulę, usiadł i zaczął czytać.

Było już po jedenastej, kiedy odsunął od siebie ostatnią teczkę.

Wszystko wydawało mu się trudne. Nie wiedział, od czego zacząć.

Przywołał w pamięci postać Stena Torstenssona, wyłaniającą się z mgły na jutlandzkim wybrzeżu.

Zwrócił się do mnie o pomoc, myślał. Prosił, żebym wyjaśnił, co przydarzyło się jego ojcu. Wypadek samocho-

dowy, który był czymś innym, ale nie samobójstwem. Mówił o zmianie w nastroju ojca. Kilka dni potem zostaje zastrzelony późnym wieczorem we własnej kancelarii. Opowiadał, że ojciec był wzburzony. Ale on sam wydawał się spokojny.

Zamyślony Wallander sięgnął po notes, w którym przedtem zapisał nazwisko Stena Torstenssona. Teraz dopisał jeszcze Gustawa Torstenssona.

Potem zmienił kolejność nazwisk.

Podniósł słuchawkę i z pamięci wybrał numer pokoju Martinssona. Nikt nie odpowiadał. Spróbował jeszcze raz, ale bezskutecznie. Przyszło mu wreszcie do głowy, że od czasu, kiedy ostatnio używał tu telefonu, wewnętrzne połączenia mogły się zmienić. Wstał i wyszedł na korytarz. Drzwi pokoju Martinssona były otwarte, wszedł więc do środka.

– Już przeczytałem materiały dochodzeniowe – oznajmił, siadając na chybotliwym krześle dla interesantów.

– Jak widzisz, nie mamy wielu punktów zahaczenia – rzekł Martinsson. – Jeden, a może kilku sprawców weszło późnym wieczorem do kancelarii Stena Torstenssona, zabijając go na miejscu. Dotychczas nie stwierdzono kradzieży. W wewnętrznej kieszeni miał portfel. Pani Dunér, od ponad trzydziestu lat zatrudniona w kancelarii, stanowczo twierdzi, że nic nie zginęło.

Wallander pokiwał w zadumie głową. Nadal nie mógł sobie przypomnieć, co uderzyło go w tym, co wcześniej powiedział lub czego nie powiedział Martinsson.

– Byłeś pierwszy na miejscu zbrodni – zwrócił się do Martinssona.

– Pierwsi byli Peters i Norén – sprostował Martinsson. – Oni mnie wezwali.

– Zawsze istnieje jakieś pierwsze wrażenie – ciągnął Wallander. – Jakie miałeś odczucie?

– Morderstwo na tle rabunkowym – bez wahania odpowiedział Martinsson.

– Ilu ich było?

– Nie potrafię nic powiedzieć, nie znaleźliśmy żadnych śladów. Ale użyto tylko jednej broni – tego jesteśmy raczej pewni, mimo że ekspertyza techniczna nie została jeszcze zakończona.

– Czyli włamał się jeden człowiek?

Martinsson skinął głową.

– Sądzę, że tak – powiedział. – Ale nie mam na to dowodów, ani za, ani przeciw.

– Sten Torstensson został trafiony trzema strzałami – mówił dalej Wallander. – W serce, w brzuch tuż poniżej pępka i w czoło. Nie myślę się chyba, twierdząc, że mamy do czynienia z kimś, kto z pewnością potrafi posługiwać się bronią?

– Myślałem o tym – przyznał Martinsson. – Ale to może być równie dobrze przypadek. Podobno przypadkowy strzał zabija równie często, co strzał oddany przez osobę, która dobrze celuje. Czytałem o tym w amerykańskich badaniach.

Wallander wstał z krzesła i dalej mówił na stojąco.

– Dlaczego ktoś się włamuje do kancelarii adwokackiej? – zapytał. – Zapewne dlatego, że chodzą słuchy o niebotycznie wysokich honorariach adwokatów. Ale czy ktoś taki naprawdę uważa, że w kancelarii leży stos banknotów?

– Na to może odpowiedzieć tylko jedna lub dwie osoby – odparł Martinsson.

– Schwytamy sprawców – powiedział Wallander. – Mam zamiar tam pojechać i się rozejrzeć.

– Pani Dunér przeżyła, rzecz jasna, ogromny wstrząs. W ciągu niespełna miesiąca całe jej życie legło w gruzach. Najpierw ginie stary Torstensson. Ledwie skończyła załatwiać formalności związane z pogrzebem, zostaje zamordowany jego syn. Mimo szoku, jakiego doznała, udało się nawiązać z nią nadspodziewanie dobry kontakt. Adres znajdziesz na zapisie rozmowy, jaką przeprowadził z nią Svedberg.

– Stickgatan dwadzieścia sześć – rzucił Wallander. – Za hotelem Continental. Czasami tam parkuję.

– Zdaje się, że to niedozwolone – zauważył Martinsson.

Wallander wrócił po kurtkę i wyszedł z komendy. W recepcji siedziała nieznajoma dziewczyna. Pomyślał, że powinien się zatrzymać i przedstawić. Chociażby po to, żeby zapytać, czy wierna Ebba odeszła ze służby, czy też pracuje wieczorami. Ale nie zrobił tego. Mimo że w ciągu godzin spędzonych w komendzie nic specjalnego się nie wydarzyło, czuł wzrastające napięcie. Uświadomił sobie, że musi trochę pobyć sam. Spędził długi okres bez towarzystwa innych ludzi. Teraz musiało trochę potrwać, żeby mógł się od tego odzwycząić. Zjeżdżając w dół w stronę szpitala, poczuł przez chwilę niejasną tęsknotę za odosobnieniem w Skagen, swoim samotnym posterunkiem i bezpieczną, niczym niezakłóconą wartą.

Ten okres już minął. Znowu powrócił na służbę.

Przyzwyczaję się, pomyślał. Tyle że to musi trochę potrwać.

Kancelaria adwokacka mieściła się przy Sjömansgatan, w murowanym, pokrytym żółtym tynkiem domu, niedaleko prawie wyremontowanego budynku starego teatru. Przed domem parkował wóz policyjny, a na przeciwległym chodniku stało kilku gapiów, rozprawiając o tym, co się wydarzyło. Znad morza wiał porywisty wiatr, Wallander skulił się, wysiadając z samochodu. Pchnął ciężką bramę i omal nie wpadł na Svedberga, który właśnie wychodził.

– Zamierzałem kupić coś do jedzenia – powiedział Svedberg.

– Możesz iść – odpowiedział Wallander. – Z pewnością trochę tu zabawię.

W przedpokoju siedziała beczynn timer młoda urzędniczka kancelarii. Wyglądała na załężknioną. Wallander natknął się na jej nazwisko w materiałach śledztwa, była to Sonja Lundin, zatrudniona dopiero od kilku miesięcy. Świadcetwo kobiety nie wniosło nic istotnego do sprawy.

Wallander podał jej rękę i przedstawił się.

– Trochę się tylko rozejrzę – powiedział. – Pani Dunér tu nie ma?

– Siedzi w domu i płacze – szczerze odparła dziewczyna.

Wallander zupełnie nie wiedział, jak zareagować.

– Ona tego nie przeżyje – mówiła dalej Sonja Lundin.

– Na pewno też umrze.

– Nie trzeba tak myśleć – zaprzeczył Wallander, słysząc, jak pusto brzmią jego słowa.

Kancelaria adwokacka Torstenssona była miejscem pracy ludzi samotnych, pomyślał. Gustaw Torstensson owdowiał przeszło piętnaście lat temu, syn, Sten Torstensson, przez wszystkie te lata nie miał matki i w dodatku był kawalerem. Pani Dunér rozwiodła się na początku lat siedemdziesiątych. Trzy samotne osoby, które spotykały się dzień w dzień. Teraz dwie z nich nie żyły, a trzecia była jeszcze bardziej samotna niż dotychczas.

Wallander doskonale rozumiał, że pani Dunér może siedzieć w domu i płakać.

Drzwi do pokoju zebrań były zamknięte. Wallander słyszał dochodzące stamtąd szmery. Po bokach znajdowały się drzwi, a na nich nazwiska obu adwokatów, wygrawerowane na błyszczących mosiężnych tabliczkach.

Wiedziony nagłym impulsem otworzył najpierw drzwi do gabinetu Gustawa Torstenssona. Zasłony były zaciągnięte, wewnątrz panował mrok. Zamknął za sobą drzwi i zapalił światło. W pokoju unosił się delikatny zapach cygar. Wallander wodził naokoło wzrokiem, mając wrażenie, że znalazł się w innej epoce. Ciężkie skórzane kanapy, stół z marmurowym blatem, obrazy na ścianach. Pomyślał, że nie przyszło mu do głowy, iż mordercom Stena Torstenssona mogło chodzić o dzieła sztuki. Przystanął obok jednego z obrazów, usiłując rozpoznać podpis autora i zorientować się, czy na ścianie wisi oryginał, czy kopia. Nie potrafił jednak odczytać sygnatury ani ocenić autentyczności obrazu, oddalił się zatem i począł okrążyć pokój. Obok masywnego stołu stał okazały globus. Na stole, oprócz kilku ołówków, telefonu i dyktafonu, nic więcej nie było. Usiadł w wygod-

nym fotelu za biurkiem i rozglądając się dookoła, raz jeszcze przywołał słowa Stena Torstenssona, które usłyszał przy kawie, w Muzeum Sztuki w Skagen.

Wypadek samochodowy, który nie był wypadkiem. Mężczyzna, który w ostatnich miesiącach życia usiłował ukryć coś, co go gnębiło.

Wallander zastanawiał się, na czym właściwie polega praca adwokata. Adwokat broni, kiedy prokurator wnosi oskarżenie. Udziela porad prawnych. Jest powiernikiem wielu tajemnic i musi przestrzegać obowiązku zachowania tajemnicy zawodowej.

Wallander rozumiał coś, nad czym się nigdy wcześniej nie zastanawiał, a mianowicie, że adwokaci strzegą wielu sekretów.

Po chwili wstał. Jeszcze za wcześnie na wyciąganie jakichkolwiek wniosków.

Kiedy wyszedł z pokoju, Sonja Lundin w dalszym ciągu siedziała nieruchomo na krześle. Otworzył drzwi do gabinetu Stena Torstenssona. Na moment gwałtownie przystanął, jak gdyby ciało martwego Torstenssona nadal leżało na podłodze, tak jak na zdjęciu, które widział w materiałach śledztwa. Jedyne jednak, co tam leżało, to plastikowa płachta. Ciemnozielony dywan został zabrany przez techników kryminalnych.

Pokój przypominał ten, który Wallander przed chwilą opuścił, z tą różnicą, że obok biurka stało kilka nowoczesnych krzeseł dla interesantów.

Na biurku nie było żadnych papierów. Tym razem Wallander nie usiadł w fotelu.

Nadal poruszam się tylko po powierzchni, myślał. Jak gdybym jedynie nasłuchiwał i rejestrował otoczenie wzrokiem.

Wyszedł z pokoju i zamknął za sobą drzwi. Svedberg wrócił i próbował namówić Sonję Lundin na świeżo zakupioną kanapkę. Wallander pokręcił przecząco głową, gdy tamten z kolei zaproponował ją jemu. Wskazał na pokój zebrań.

– Siedzi tam dwóch tak zwanych egzekutorów z Izby Adwokackiej – wyjaśnił Svedberg. – Przeglądają wszystkie dokumenty. Wpisują do rejestru, plombują, zastanawiają się, co robić dalej. Trzeba zawiadomić klientów, inni adwokaci przejmą ich sprawy. Kancelaria Torstenssona w zasadzie przestała istnieć.

– Musimy, rzecz jasna, mieć dostęp do dokumentów – oświadczył Wallander. – Kto wie, czy prawdy o tym, co się wydarzyło, nie należy szukać wśród ich klientów.

Svedberg zmarszczył czoło i spojrzał pytająco na Wallandera.

– Ich? – zapytał zdziwiony. – Masz chyba na myśli Stena Torstenssona? Ojciec się przecież zabił na drodze?

Wallander pokiwał głową.

– Masz rację – poprawił się. – Miałem oczywiście na myśli klientów Stena Torstenssona.

– Właściwie szkoda, że nie jest na odwrót – powiedział Svedberg.

Wallander zamierzał zignorować uwagę Svedberga, ale raptem dotarło do niego jej znaczenie.

– Dlaczego? – zapytał zdziwiony.

– Wygląda na to, że stary Torstensson miał bardzo niewiele klientów – odparł Svedberg. – Podczas gdy Sten Torstensson prowadził bardzo dużo spraw.

Svedberg wskazał ruchem głowy pokój zebrań.

– Twierdzą, że będą potrzebowali ponad tydzień, żeby się z tym uporać – wyjaśnił.

– W takim razie nie będę im teraz przeszkadzał – powiedział Wallander. – Porozmawiam raczej z panią Dunér.

– Chcesz, żebym z tobą pojechał? – zaofiarował się Svedberg.

– Nie trzeba – odparł Wallander. – Wiem, gdzie mieszka.

Wsiadł do samochodu i zapuścił motor. Czuł się niepewny i zagubiony. Po chwili zmusił się do podjęcia decyzji. Zacznie od końca, który zna tylko on. Tego końca,

który zasugerował mu Sten Torstensson przy okazji wizyty w Skagen.

Musi istnieć jakiś związek, myślał, jadąc powoli na wschód. Minął budynek sądu, Sandskogen i po chwili wyjechał z miasta. Między pierwszą a drugą śmiercią. Wszystko inne nie ma sensu.

Patrzył na szary krajobraz za boczną szybą. Zaczęła się drobna mżawka. Podkręcił ogrzewanie.

Jak można kochać to błoto, myślał. A jednak. Jestem policjantem i wszędzie, gdziekolwiek się ruszę, jest błoto. A mimo wszystko nie zamieniłbym tego życia na żadne inne.

Dojazd do miejsca, gdzie zabił się Gustaw Torstensson, zajął mu nieco ponad trzydzieści minut. Wallander miał ze sobą raport z miejsca wypadku i wsunawszy go do kieszeni kurtki, wysiadł z samochodu. Zanim rozpoczął oględziny, wyjął z bagażnika kalosze i naciągnął je na nogi. Wiatr przybierał na sile, rozpadało się na dobre. Było mu zimno. Na żerdzi na wpeł rozwalonego płotu siedział myszołów, uważnie mu się przypatrując.

Okolica była wyjątkowo wyludniona, nawet jak na Skanię. W pobliżu nie było ani jednego gospodarstwa, Wallandera otaczały tylko brązowe pola, podobne do skamieniałych morskich fal. Droga biegła prosto, sto metrów dalej zaczynała się wznosić i ostro skręcała w lewo. Wallander położył na masce szkic z miejsca wypadku, porównując go z rzeczywistością. Samochód Torstenssona wylądował na dachu po lewej stronie drogi, dwadzieścia metrów w głąb pola. Na drodze nie było śladów hamowania. W chwili wypadku panowała gęsta mgła.

Wallander odłożył raport do samochodu. Ponownie stanął na szosie i rozejrzał się. Dotychczas nie przejechał jeszcze żaden samochód. Myszołów nadal siedział na żerdzi. Wallander przeszedł przez rów i wszedł w wilgotną glinę,

która grudkami oblepiła mu kalosze. Odmierzył dwadzieścia metrów, po czym odwrócił się i spojrzął na drogę. Przejechał samochód z rzeźni, zaraz po nim dwa samochody osobowe. Deszcz się nasilał. Wallander usiłował odtworzyć przebieg wydarzeń. Prowadzący samochód starszy mężczyzna znalazł się w gęstym pasie mgły. Nagle traci kontrolę nad pojazdem, samochód wypada z drogi, koziółkuje raz lub dwa i ląduje kołami do góry. Martwy kierowca siedzi zapięty pasami. Oprócz kilku skaleczeń na twarzy, miał na karku ślady uderzenia od twardej, metalowej części samochodu. Zapewne śmierć nastąpiła natychmiast. Dopiero o świcie zauważył go jakiś rolnik jadący traktorem.

Nie musiał nawet szybko jechać, pomyślał Wallander. Mógł stracić kontrolę nad wozem i nacisnąć w panice pedał gazu. Samochód wpadł na pole. Opis Martinssona z miejsca wypadku wygląda na wyczerpujący i poprawny.

Już miał zawrócić do auta, kiedy dostrzegł na ziemi na wpół wdeptany w glinę przedmiot. Pochylił się i wyciągnął nogę drewnianego brązowego krzesła. Rzucił ją na pole, a wtedy myszółów zerwał się z plotu i odfrunął, ciężko łopocząc skrzydłami.

Pozostał mi jeszcze wrak samochodu, pomyślał Wallander. Ale i tam chyba nie znajdę nic szczególnego, na co Martinsson wcześniej nie zwróciłby uwagi.

Wrócił do samochodu, oskrobał z grubsza glinę z kaloszy i zmienił buty. W drodze do Ystad zastanawiał się, czy nie skorzystać z okazji i nie odwiedzić ojca i jego nowej żony w Löderup. Postanowił jednak dać sobie spokój. Zależało mu na rozmowie z panią Dunér i chciał obejrzeć wrak samochodu, zanim będzie musiał wracać na komendę.

Zatrzymał się przy stacji benzynowej OK przy wjeździe do Ystad, napił się kawy i zjadł kanapkę. Rozejrzał się po wnętrzu lokalu. Uderzyło go, że szwedzkie pustkowia zawsze najbardziej rzuca się w oczy z okien w restauracjach przy stacjach benzynowych. Tknięty nagłym niepokojem, wyszedł, ledwie łyknąwszy nieco kawy. Wjeżdżał do miasta

w deszczu, przed hotelem Continental skręcił w prawo, następnie jeszcze raz w prawo w wąską ulicę Stickgatan. Zaparkował niestaranie, częściowo na chodniku, przed różowym domem, gdzie mieszkała Berta Dunér. Zadzwoił do drzwi i czekał. Trwało blisko minutę, zanim drzwi się otworzyły. W wąskiej szparze mignęła blada twarz.

– Moje nazwisko Wallander, jestem z policji – powiedział, na próżno usiłując odszukać w kieszeni policyjną legitymację.
– Chętnie bym z panią porozmawiał, jeżeli pani pozwoli.

Pani Dunér otworzyła drzwi i wpuściła go do środka. Podała mu wieszak, Wallander powiesił na nim swoją wilgotną kurtkę. Poprosiła go do salonu z błyszczącym parkietem i dużym oknem, wychodzącym na ogródek z tyłu domu. Rozejrzał się po pokoju i stwierdził, że znajduje się we wnętrzu, w którym nie ma miejsca na przypadek, meble i elementy dekoracyjne zorganizowane były w najdrobniejszych szczegółach.

Z pewnością podobnie podchodzi do pracy w kancelarii, pomyślał. Podlewanie kwiatów i nienaganne prowadzenie kalendarza spotkań to prawdopodobnie dwie strony tego samego medalu.

Życie, w którym nie ma miejsca na przypadek.

– Proszę usiąść – powiedziała pani Dunér nieoczekiwanie szorstkim tonem.

Wallander spodziewał się, że ta niepozorna, nienaturalnie chuda kobieta o siwych włosach będzie miała cichy głos. Usiadł w staroświeckim wiklinowym fotelu, który zatrzeszczał pod jego ciężarem.

– Czy mogę panu zaproponować filiżankę kawy? – zapytała.

Wallander odmownie potrząsnął głową.

– Herbaty?

– Też nie – odpowiedział. – Chcę tylko zadać parę pytań. Potem sobie pójdę.

Pani Dunér przysiadła na skraju kwiecistej kanapy, po drugiej stronie stołu ze szklanym blatem. Wallander zorien-

tował się, że nie wziął ze sobą pióra ani notesu. Co gorsza, nie przygotował sobie nawet wstępnych pytań, choć dawniej było to jego elementarnym nawykiem. Wcześniej się nauczył, że w czasie prowadzenia śledztwa nie istnieje coś takiego jak neutralne przesłuchania lub rozmowy.

– Chciałbym najpierw wyrazić ubolewanie z powodu tragicznych zająć – zaczął niepewnie. – Z Gustawem Torstenssonem zetknąłem się zaledwie kilka razy. Ale Stena Torstenssona dobrze znałem.

– Prowadził pana sprawę rozwodową dziewięć lat temu – zauważyła Berta Dunér.

W tym momencie Wallander ją sobie przypomniał. To ona przyjmowała jego i Monę, gdy spotykali się w kancelarii adwokackiej, a potem wychodzili stamtąd ze starganymi nerwami. Miała wtedy mniej siwe włosy, być może nie była też tak chuda. Mimo to zdziwiło go, że nie rozpoznał jej od razu.

– Ma pani dobrą pamięć – powiedział.

– Mogę zapomnieć nazwisko – odparła. – Ale zawsze pamiętam twarz.

– Ze mną jest chyba podobnie – przyznał Wallander.

Zapadło milczenie. Ulicą przejechał samochód. Wallander zrozumiał, że powinien był poczekać z wizytą u Berty Dunér. Nie wiedział, o co ma pytać, nie miał punktu zaczepienia. Nie chciał również wracać do ponurych wspomnień z przeciągającego się rozwodu.

– Rozmawiała już pani z moim kolegą Svedbergiem – odezwał się po chwili. – Niestety, w trudniejszych dochodzeniach pytań jest więcej. I nie zawsze zadaje je ten sam funkcjonariusz.

Jęknął w duszy, słysząc, jak niezręcznie się wyraża. Nie wiele brakowało, aby wstał, przeprosił i wyszedł. Zmusił się jednak, żeby jakoś zebrać myśli.

– Nie muszę pani pytać o to, co już wiem – zapewnił. – Nie musimy rozmawiać o tym, jak przyszła pani rano do biura i zastała zamordowanego Stena Torstenssona. Chyba

że przypomniała pani sobie coś, czego pani wcześniej nie powiedziała.

Odpowiedź nadeszła szybko i zdecydowanie.

– Nie. Wszystko powiedziałam panu Svedbergowi.

– W poprzedzający wieczór – ciągnął Wallander – o której wyszła pani z biura?

– Było około szóstej. Może pięć po, nie później. Sprawdziłam kilka listów, które przepisała panna Lundin. Następnie zadzwoniłam do pana Torstenssona z pytaniem, czy jest coś jeszcze do zrobienia. Powiedział, że nie, i życzył mi miłego wieczoru. Potem włożyłam płaszcz i wyszłam.

– Drzwi się zatrzasnęły? I Sten Torstensson został w środku sam?

– Tak.

– Czy wie pani, jakie miał plany na tamten wieczór?

Spojrzała na niego zdziwiona.

– Zamierzał naturalnie dalej pracować. Przy takim nawale pracy Sten Torstensson nie mógł po prostu pójść sobie do domu.

Wallander pokiwał głową.

– Rozumiem, że pracował – powiedział. – Zastanawiam się tylko, czy miał jakąś szczególnie pilną sprawę?

– Wszystko było pilne – odparła. – Ponieważ jego ojciec został zabity kilka tygodni wcześniej, był naturalnie zawalony pracą. To się rozumie samo przez się.

Wallandera zaskoczył jej dobór słów.

– Mówi pani o wypadku samochodowym?

– A o czym innym mogłabym mówić?

– Powiedziała pani, że ojciec został zabity. To oryginalny sposób ujęcia sprawy.

– Albo się umiera, albo się zostaje zabitym – oświadczyła.

– Umiera się w łóżku z tak zwanych przyczyn naturalnych. Lecz sam pan musi przyznać, że kiedy ginie się w wypadku samochodowym, zostaje się zabitym.

Wallander wolno pokiwał głową. Domyślał się, co chciała powiedzieć. Mimo to nie był pewny, czy za jej słowami nie

kryje się coś innego, czy nie jest to podświadomy komunikat, mający związek z podejrzeniami, które pchnęły Stena Torstenssona do złożenia wizyty w Skagen.

Nagle przyszła mu do głowy pewna myśl.

– Czy pamięta pani może, co robił Sten Torstensson kilka dni wcześniej? – zapytał. – W niedzielę dwudziestego czwartego i w poniedziałek dwudziestego piątego października?

– Był w podróży – odpowiedziała bez wahania.

Zatem Sten Torstensson nie wyjechał w tajemnicy, pomyślał Wallander.

– Powiedział, że musi na kilka dni wyjechać, oderwać się od smutnych myśli o śmierci ojca – mówiła dalej. – Przeżyłam naturalnie wszystkie spotkania, które zaplanował.

Nagle, zupełnie niespodziewanie, wybuchnęła płaczem. Wallander natychmiast poczuł się bezradny. Fotel niespokojnie zatrzeszczał pod jego ciężarem.

Berta Dunér szybko wstała z kanapy i wyszła do kuchni. Słyszał, jak wyciera nos. Po chwili wróciła.

– Ciężko mi – wyznała. – Niewiarygodnie ciężko.

– Rozumiem – odparł Wallander.

– Wysłał mi pocztówkę – powiedziała z lekkim uśmiechem.

Wallander pomyślał, że na pewno znów się rozplacze. Ale była bardziej opanowana, niż przypuszczał.

– Chce pan obejrzyć?

– Chętnie.

Wstała i podeszła do półki z książkami przy dłuższej ścianie. Wyjęła pocztówkę z porcelanowej miseczki i podała mu.

– Finlandia musi być pięknym krajem – powiedziała. – Nigdy tam nie byłam. A pan?

Wallander spoglądał zaskoczony na pocztówkę. Przedstawiała krajobraz morski w zachodzącym słońcu.

– Tak – odpowiedział powoli. – Byłem w Finlandii. Zgadza się, to bardzo piękny kraj.

– Proszę wybaczyć moje wzburzenie – poprosiła. – Ale kartka przysłała tego samego dnia, kiedy znalazłam go martwego.

Wallander skinął głową z roztargnieniem.

Pomyślał, że ma o wiele więcej pytań do Berty Dunér, niż się spodziewał. Równocześnie dotarło do niego, że nie nadszedł jeszcze właściwy czas. Sten Torstensson powiedział więc sekretarce, że jedzie do Finlandii. Przysłała stamtąd pocztówka – zagadkowy dowód. Lecz kto ją wysłał? Skoro Sten Torstensson w tym samym czasie przebywał na Jutlandii?

– Ze względu na dochodzenie chciałbym zatrzymać tę pocztówkę na kilka dni – powiedział. – Osobiście ręczę, że do pani wróci.

– Rozumiem – odparła.

– Ostatnie pytanie, zanim wyjdę – dodał Wallander. – Czy nie zauważyła pani nic szczególnego w ostatnim okresie przed jego śmiercią?

– Co pan przez to rozumie?

– Że zachowywał się inaczej niż zwykle.

– Był oczywiście głęboko wstrząśnięty i przybity śmiercią ojca.

– A poza tym?

Wallander słyszał, jak źle zabrzmiało to pytanie. Niemniej czekał na odpowiedź.

– Nie – odpowiedziała. – Był taki, jak zawsze.

Wallander wstał z wiklinowego fotela.

– Będę chciał jeszcze z panią rozmawiać – uprzedził.

Berta Dunér nadal siedziała na kanapie.

– Kto mógł zrobić coś tak potwornego? – zapytała. – Wejść, zabić człowieka i potem po prostu sobie pójść, jakby nigdy nic.

– Tego się właśnie musimy dowiedzieć – powiedział Wallander. – Nie wie pani, czy miał jakichś wrogów?

– Jakich mógł mieć wrogów?

Po chwili wahania Wallander zadał jeszcze jedno pytanie:

– Jak pani sądzi? Co się mogło stać?

Wstała z kanapy, nim odpowiedziała.

– Dawniej można było zrozumieć nawet to, co wydawało się nie do pojęcia. Ale nie dzisiaj. Nawet w naszym kraju nie jest to już możliwe.

Wallander włożył kurtkę, wciąż ciężką od wilgoci. Kiedy znalazł się na ulicy, przystanął. Wspomnił cytat z Biblii, który przyswoił sobie za młodu, już jako świeżo upieczony policjant.

„Jest czas rodzenia i czas umierania”.

Myślał o tym, co usłyszał na pożegnanie od Berty Dunér. Miał niejasne wrażenie, że powiedziała coś ważnego o Szwecji. Coś, do czego powinien wrócić. Ale na razie odsunął od siebie jej słowa.

Muszę spróbować zrozumieć zamiary zmarłych, pomyślał. Pocztówka z Finlandii, ze stemplem nadania w dniu, kiedy Sten Torstensson bez wątpienia pił ze mną kawę w Muzeum Sztuki w Skagen dowodzi, że nie mówił prawdy. W każdym razie nie całej prawdy. Człowiek nie może kłamać, sam o tym nie wiedząc.

Wsiadłszy do samochodu, walczył ze sobą, jak postąpić dalej. Jako osoba prywatna najchętniej wróciłby do mieszkania na Mariagatan i zaszył się w sypialni, zaciągając zasłony. Jako policjant nie mógł sobie na to pozwolić.

Spojrzał na zegarek. Była za kwadrans druga. Najpóźniej o czwartej musi być z powrotem w komendzie na popołudniowym zebraniu sprawozdawczym grupy dochodzeniowej. Chwilę się wahał, nim podjął decyzję. Wreszcie ruszył, skręcił w ulicę Hamngatan i trzymając się lewej strony, wjechał z powrotem na Österleden. Jechał potem Malmövägen, aż do skrzyżowania z drogą na Bjäresjö. Przestało się śniżyć, wicher to zrywał się, to ustawał. Po przejechaniu kilku kilometrów Wallander skręcił z głównej drogi i zatrzymał się przed ogrodzeniem, na którym wisiała zardzewiała tabliczka: Nilklasson – Złomowisko. Brama była otwarta, wjechał między spiętrzone szkielety samochodów. Zastanawiał się, ile razy

w życiu już tu przyjeżdżał. Niklasson był niezliczoną ilość razy podejrzany lub oskarżony w sprawach o paserstwo. Wśród policjantów w Ystad był legendarną postacią, gdyż nigdy nie został skazany, mimo że często wydawało się, że są przeciwko niemu niezbita dowody. Lecz w końcu zawsze znajdowała się niewidoczna igła, która przebijała balon ze zgromadzonymi dowodami i Niklasson powracał do dwóch zespawanych ze sobą przyczep kempingowych, które służyły mu równocześnie za mieszkanie i biuro.

Wallander wyłączył silnik i wysiadł z samochodu. Brudny kot obserwował go z zardzewiałej maski starego peugeota. W tej samej chwili Wallander dostrzegł Niklassona wychodzącego zza sterty opon. Miał na sobie ciemny płaszcz i naciągnięty głęboko na oczy brudny kapelusz, który przykrywał długie włosy. Wallander nigdy nie widział go w innym stroju.

– Kurt Wallander – powiedział, uśmiechając się Niklasson. – Dawno się nie widzieliśmy. Przychodzi pan po mnie?

– A powinienem?

– Sam pan wie najlepiej – odparł ze śmiechem Niklasson.

– Masz u siebie samochód, który chcę zobaczyć – oznajmił Wallander. – Ciemnoniebieski opel, którego właścicielem był Gustaw Torstensson.

– Aha, ten – przytaknął Niklasson i ruszył przed siebie. – Jest tam. Dlaczego pan komisarz chce go oglądać?

– Bo człowiek, który nim jechał, zginął w wypadku.

– Ludzie jeżdżą jak idioci – stwierdził Niklasson. – Dziwi mnie tylko, że nie ginie ich jeszcze więcej. Tutaj go pan ma. Jeszcze nie zacząłem rozbiórki. Jest w takim stanie, w jakim go przywieziono.

Wallander skinął głową.

– Możesz mnie zostawić, dam sobie radę – powiedział.

– Nie wątpię – odparł Niklasson. – Nawiasem mówiąc, zawsze się zastanawiałem, jak człowiek się czuje, kiedy zabije drugiego człowieka.